Nr. 291. Kraków, Sobota dnia 23 Grudnia 1899. Rok VII.

PRZEDPŁATA.
w Krakowie:
rocznie . . . . . zlr. 16·—
kwartalnie . . . . „ 4·—
miesięcznie . . . . „ 1·35
za odnoszenie . . . „ —·20
Na Prowincji:
rocznie . . . . . zlr. 20·—
kwartalnie . . . . „ 5·—
miesięcznie . . . . „ 1·70
Za granicą:
w Niemczech miesięcznie 2 zlr.,
w innych krajach Europy zł. 2·20
Numer zwykły 8 ct.
Niedzielny i Czwartkowy 10 ct.

GŁOS NARODU

Wychodzi codziennie, z wyjątkiem świąt i niedziel, o godzinie 10 zrana.

OGŁOSZENIA.
Za wiersz 6 ct. Od wyrazu w drobnych ogłoszeniach 1½ ct.,
w „Nadesłanem 20 ct.
Wiersz zwykły, Śluby, nekrologi wiersz 40 ct.
Do działu inseratów upełnomocniony *Jan Strycharski.*
Rękopisów redakcja nie zwraca.
Każda zmian adresu 20 ct.

Redakcja i Administracja:
Kraków, ulica Garbarska Nr. 7.
Telefon Redakcji Nr. 309.

ZAŁOŻYCIEL: JÓZEF ROGOSZ.
Redaktor: KAZIMIERZ EHRENBERG.

Biuro Inseratowe:
Kraków, ul. Jagiellońska l. 7.







CO ŻYCIE NIESIE.

UWAGI.

Ze czcią Cię witamy, święty wieczorze wigilijny, ze czcią całego przywiązania do tłumu wspomnień z lat minionych, z lat pięknych, dźwięcznych, barwnych, jak te jabłuszka czerwone i świeczki woskowe i złocone orzechy na zielonej choince. Kochamy ten dzień, szczególniej my, Polacy, którym dzieje przekazują zdumiewającą i podniosłą wiarę przodków i świętość domowego polskiego ogniska.

Dzień urodzin Bożego Dzieciątka, to prawdziwe nasze polskie święto... Tak ono jakoś przystaje do każdej zacnej a choćby i nadpsutej, a jednak z gruntu poczciwej, zdolnej kochać i przebaczać, polskiej duszy, że poprostu musimy uważać Boże Narodzenie za jakieś wyłącznie nasze, polskie narodowe święto.

W tym dniu zestrzelają się myśli rodzinne przy białym obrusie wigilijnego stołu, gasną urazy, z któremi nie potrafi długo żyć słowiańskie serce, otwierają się ramiona zagniewanych rodziców na przyjęcie niesfornych lub niewdzięcznych dzieci, a otwierają się dla tego, bo jest w zagniewanych sercach pewność, że zaraz po złym czynie przyszedł do polskiego serca żal i chęć zadośćuczynienia, brat bratu po gniewie rękę podaje, słowem radość ogarnia wszystkie kąty domu, bo wszystkim ciężar spada z serca, czy to w przebaczeniu urazy, czy wylewie serdecznych uczuć przywiązania.

Tak, tak, to nasze polskie święto, tem dla nas droższe, im bardziej srożą się wokoło burze, zagrażające naszemu, biednemu i tak dorobkowi z dni niewoli, im bardziej szerzy się zgubne tchnienie doktryn, które usiłują zamknąć serca przed podnioślejszemi uczuciami wierzeń i wzruszeń, aby je zastąpić zimną szyderczą filozofią życia, polegającego tylko na uznaniu tuziemskiego bytu kończącego się u furty cmentarza.

Tem uroczyściej więc święcimy ten drogi nam wieczór; on budzi w nas naszą dziecięcą wiarę, przypomina tradycje i pamiątki przeszłości, odświeża i utrwala rodzinne uczucia, a z promykiem pierwszej wigilijnej gwiazdki wstępuje znowu w serca moc i utrwalenie przekonania o przynależności naszych dusz do tego górnego świata złotych gwiazd i głębokiego, milczącego nieba.

Ta myśl daje nam spokojenie, napełnia dumą poczucia człowieczej godności, ta myśl nastraja nasze umysły otuchą, przynosi świadomość naszej duchowej siły. Dlatego pełną piersią śpiewamy, albo wzruszeni do głębi towarzyszymy uczuciom radosnej pieśni: „Pan z nieba i łona Ojca przychodzi“.

Znałem w dzieciństwie mojem proboszcza wiejskiego, staruszka od lat już spoczywającego pod czarnym krzyżykiem na małym wiejskim cmentarzu. Siedząc przy wigilijnym stole mawiał zawsze siwy gołąbek:

— Siedmdziesiąt pięć lat już żyję, biblję na pamięć umiem, pół wieku według niej uczę wiernych, a przecie na dnie duszy mam wyobrażenie, któremu na żaden sposób opędzić się nie mogę. Gadajcie, co chcecie, ale chyba ci pasterze, co pierwsi witali Bożą Dziecinę, co pierwsi śpiewali mu radosne pieśni, musiały to być nasze polskie poczciwe chłopaki, bo któżby z taką wiarą, tak gorąco, serdecznie, radośnie potrafił czcić Zbawiciela, jak polskie serca. Mnie się zdaje nawet, dodawał z figlarnym uśmiechem starowina, że ta para poczciwych zwierząt, co ogrzewała swem tchnieniem Bożą Dziecinę, to był polski wół i polski osioł.

Ziarno serdecznej prawdy tkwiło w tym żarcie: gorąco przywiązany do wiary lud i naród polski, najgoręcej też z pewnością wśród ludów świata, czci dzień dzisiejszy.

Zaduma uroczysta spada na ciche lasy, na ośnieżone dachy domków i chat, co mrugają rozjaśnionemi oczyma okien i okienek w ciemnej nocy... Słychać śpiewy, ulicami miast i miasteczek, drożynami polnemi, po wsiach ciągną pojedynczo i gromadkami ludzie ku sobie... Schodzą się więc ludzie a nie rozchodzą... To znamienna cecha dzisiejszego wieczoru!

Pod oknami polskich domków i chat stają chłopcy z gwiazdką kolorową, śpiewają kolędy i błyszczą ku jasnym okienkom radosnemi oczyma, jak świeczkami.

Ale nie brak smutnych i samotnych w tym dniu tak jak nie brak nigdy bólu wśród życia... O, błąkają się ci samotni po wielkiej przestrzeni życia bez podpory moralnej, bez oparcia, złamani niedawnym zawodem, odarci z bliskich swoich, niepewni jutra... Ci z pewnością, o ile nie zastygli, lub nie zgorzknieli w bólu, dłużej i głębiej patrzą w ten wieczór ku gwiazdom od spokojnych i szczęśliwych... może nawet widzą więcej gwiazd przez własne łzy...

Tym smutnym i samotnym najpierw niesiemy z całego serca życzenie uspokojenia i otuchy!...

Wam, towarzysze naszych celów i myśli, przyjaciele i czytelnicy, niesiemy życzenia miru, jedności, dobrej woli...

U progu nowego wieku szlemy razem z Wami gorące westchnienie w stronę betleemskiej Gwiazdy o dobre natchnienie i przewodnictwo ku drogom, które nas najlepiej powiodą do innego wieku po wieku rozterki, ofiar, niewoli. A żądając przewodnictwa od gwiazd utrwalamy w sobie samych wolę pójścia za niemi mimo przeszkód i trudów.

Pójdziemy... Kto dojdzie, nie wiemy, nie pytajmy nawet, aby nie stracić siły. Bądźmy tylko razem w dobrych i szczerych chęciach naszych, a mając jeden jasny cel na oku, nie lękajmy się tego, że nieraz lęk, błąd, ludzka ułomność, zatrzyma nasze kroki lub drogi pomyli... Byleby iść zawsze tam, zawsze w tę jednę stronę.

Niechże płynie po osrebrzonych polach naszych wielkie uroczyste uspokojenie, niech otula nasze progi domowe jak modlitwa otula myśli zmęczone — my Temu, który dziś do cierpiącej ludzkości idzie z Nieba, zróbmy miejsce w sercach i zagrodach naszych!...

W małym teatrzyku Jantscha w wiedeńskim Praterze byłem niedawno na przedstawieniu francuskiego towarzystwa śpiewaków i monologistów, „la Roulotte“.

Wśród bardzo urozmaiconego programu umieszczono między innemi: *cantomime*, monodram mimiczny ilustrowany muzyką i śpiewem wykładającym to, co gestami wyrazić usiłował aktor.

Jeden z tych obrazków nosił tytuł: „Le Noël de Pierrot“ — błazen w noc Bożego Narodzenia. W zimnej opustoszałej izbie na poddaszu, na łożu nędzy i niedostatku leży błazen w swoim kostjumie cyrkowym z dużymi białymi pomponami z twarzą na biało, jak ściana malowaną i naczerwienionymi ustami. Wrócił z tej budy, w której nie odbyło się przedstawienie z powodu braku publiczności. Od kilku dni nic nie jadł, gorączka głodu szarpie jego ciało, bolesne wizje nawiedzają duszę, a radość świata, z dnia dzisiejszego sączy mu gorycz do serca...

W tej walce ciężkiej podnosi głowę i zwraca oczy ku oknu. Tam za oknem noc jasna księżycową poświatą, gorejąca gwiazdami na głębokiej toni tajemniczego bardziej, niż kiedykolwiek lazuru nieba. Wszechświat cały rozbrzmiewa jakimś przepotężnym hymnem życia, wiary, nadziei, miłości i biedny błazen cyrkowy staje się na chwilę cząstką tej nieskończoności. Zapomina o głodzie, który go szarpie, o zimnie, od którego drżą jego członki; o chłodzie ludzi, wśród których przepada z nędzy, i płynie za temi złotemi gwiazdami w nieopisanej ekstazie wołając. „Chwała, chwała, chwała na Wysokości, a na ziemi pokój ludziom“. Otworzył się przed nim bodaj na chwilę jakiś inny świat i porwał za sobą, każąc mu zapomnieć o wszystkiem złem; zapomniał o przemienności życia i dotkliwości przemijającego bólu wobec gwiaździstego nieba, z którego w tę świętą noc spłynęło w duszę błazna nieopisane uspokojenie.

Licznie zebrana w teatrze publiczność i ja z nią przygiądaliśmy się z zajęciem tej scenie, potem biliśmy brawo i mówili, że to bardzo ładne... w kilka godziu zapomnieliśmy — bo i któżby długo pamiętał numery programu teatru „Varietè“, choćby naprawdę francuskiego.

W chwili, gdy usiadłem do pisania uwag dla gwiazdkowego numeru, tego właśnie, którym kończymy stulecie, aby zacząć nowe, nieznane, może zupełnie inne, w nadziejach naszych lepsze, w rzeczywistości gorsze może, przyszła mi na myśl noc Bożego Narodzenia na poddaszu, u cyrkowego, głodem mrącego pajaca. Dlaczego się to stało, nie wiem i badać nie myślę. Może właśnie dlatego, że z większym, niż kiedy, pietyzmem myślałem o temacie do uwag dla tego właśnie numeru, podwójnie uroczystego dla czytelników, jak i dla dziennikarzy. Wszak zwykle z gwiazdkowym numerem zaczyna się właściwie rok nowy w życiu dziennika, a kończy znowu jeden rok mozolnej pracy, walki, goryczy, uśmiechów i łez, obaw i nadziei, przyjaźni i niechęci. Zaczyna się rok nowy, o którym myślimy ze smutnym uśmiechem, bo wiemy, że przejść trzeba będzie wszystkie te same drogi, któremi się szło, lub iść musiało w roku ubiegłym, drogi ciężkie i trudne... Czy tylko do jaśniejszego powiodą celu?

Dlaczegoż jednak dzisiaj stanęła mi przed oczyma w blaskach gwiaździstego nieba wigilijnej nocy biała postać poliszynela? Dlaczego wspominam bolesne tragedje ludzkiej duszy, których tysiące, może setki tysięcy dokona się tego uroczystego wieczora w duszach ludzi na szerokim świecie?

Zdaje mi się, że to mimowolne przeciwieństwo praw myślenia. Niebo i ziemia i wszechświat cały drży dreszczem wspomnienia tej radości, która spłynęła na cierpiącą ludzkość w przededniu wielkiej tragedji Golgoty, dreszczem radości z odkupienia, dreszczem nadziei lepszego jutra i wiary, że ponad Złem zwyciężyć musi Dobro. Chwila ta co rok w ten święty dzień jak niebiańskie pienia aniołów, co Zbawiciela przyjście witały, ogarnia ludzkość jęczącą w jarzmie doczesności, targaną bratobójczą walką, głodną uspokojenia i nadziei jutra, żądną spoczynku po boju wczorajszych dni... A gdy zważymy o co wre ten bój, w którym zatruwa się tyle serc, o jakie dobra stacza się walka pod tem niebem i temi samemi gwiazdami, co spoglądały tak samo swemi złotemi oczyma na betleemską stajenkę, wówczas porównanie z postacią białego pajaca o białej twarzy, wlokącego życie bez jutra o głodzie i chłodzie, którego każdy uśmiech odbije się jękiem boleści na dnie serca — to porównanie ciśnie się mimowoli.

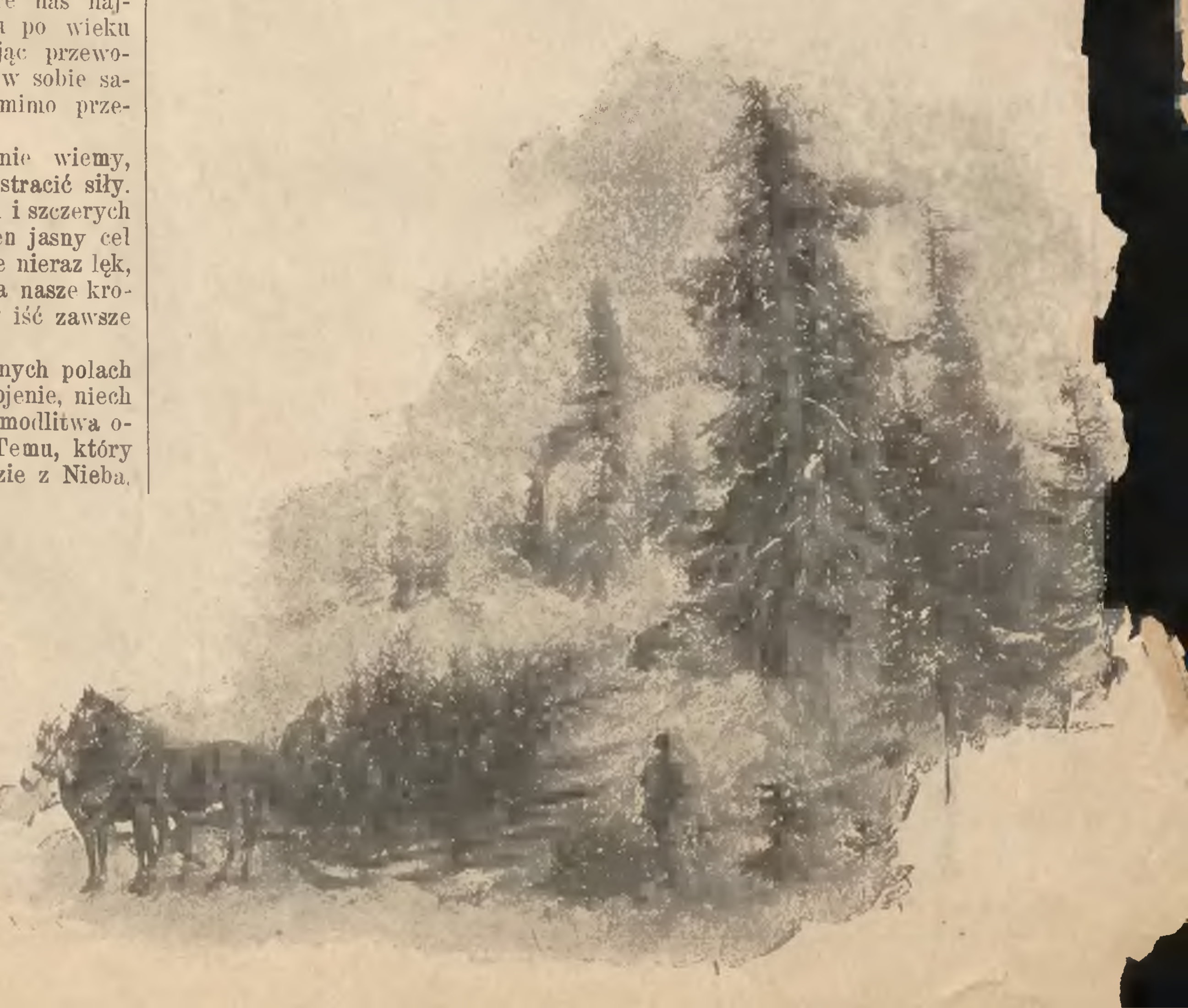
Tysiąc dziewięćset lat przeżyła ludzkość od chwili przyjścia Boga-Człowieka, przez dziewiętnaście wieków miljony ludzi czci i wyznaje ideał braterstwa i miłości bliźniego i uczy się, że tylko w tym ideale życia spokój, harmonja, zadowolenie, uczy się, że Król z Betlejemu w powodzi niedoli doczesnej miłość, wskazał i współczucie, jako ostoje przed burzami — a przecież w blasku tego słońca błądzi ludzkość po ciemnych drogach cierni, wierząc w miłość i wiarę co zbawia wymawia przecież częściej słowo w r ó g niż d r u h, żądna przebaczeń, nienawidzi, cuciwa ideału strąca Boga z ołtarzy i odwraca oczy od słońca ku migotliwym połyskom przemiennej chwili zowiącej się życiem. Oto istnienie bajazza! Śmiech przez łzy, głód ciała i duszy, zimno serc, lęk przed jutrem, żal straconych uczuć — walka z złem, złem, nad którego wzrostem pracuje sama.

Tę noc smutnego istnienia rozjaśniają czasem blaski uniesień wywołanych uroczystym nastrojem potężnej modlitwy gwiazd, nieba, i ziemi, uroczyste chwile w których Bóg mówi...

Bóg mówi w tę świętą noc Chrystusowego Narodzenia i na ten głos w miljona[ch] serc nastaje chwila zadumy, przedsma[ku] nieznanego, choć upragnionego szczęści[a]. Ludzkość jak ów bajazzo na zimnem p[o]daszu, zapomina o bolach codzienności, w[i]dzi przed sobą jasne słoneczne drogi, drż[y] pragnieniem szczęścia dostępnego jej prze[cie], skoro nie gaśnie słońce, ani spadają gwiazdy, aby roznieść w nieskończonej przestrzeni glob walk bratobójczych, zmartwień i goryczy.

Dźwiga się z pęt dusza milionów po[czuciem] własnej godności, świadomością siły w sobie, uczuciem bezpieczeństwa prze[d] grozą zagniewanego Boga — wszak na ziemię, na której stała betlejemska sta[jen]ka i krzyż Golgoty, gniew boży bez [mi]sierdzia nie spadnie!

W takich chwilach odradza się i [...]



cza duch ludzki, a choć potem znowu go nieraz ogarnie chłód życia, ból walki, głód ideału i mrok powątpiewań — przecież posiew świętego natchnienia zostaje w sercach umocnieniem. Ten posiew sprawia, że im cięższy upadek, im większe zapomnienie, o niebie, gwiazdach i słońcu, tem silniej przemawia w nas duch nieśmiertelny i przypomina, gdzie mamy szukać czystych uniesień i prawdziwego uspokojenia!..

„Kiedy umarli powstaną“ — woła jeden z najgenjalniejszych synów ludzkości w ostatniem dziele swojego twórczego genjuszu — zbudzą się do życia „cichej nocy letniej w górach“, w której ciszą będzie Prawda, a blaskiem z nieba, Piękno. Do tych gór wędrują dusze przez rzeczywistość życia, która jednak nie jest rzeczywistością dusz... Idą po mozolnych ścieżkach pielgrzymi w górę; wiatr, mgły, zimno, smagają ich ciała, kamienie kaleczą ich nogi a oni idą, aby tam na szczytach rozpłynąć się w nieskończoności, aby ze szczytów spojrzeć na szary bezmiar biednego życia i zaznać uspokojenia.

W świętą noc urodzin Zbawiciela, rozchylają się ze szczytów przed oczyma pielgrzymów-wyznawców mgły i zawieje, ukazuje się zmęczonym oczom wędrowników kraina „cichej nocy letniej w górach“, aby im powiedzieć: „Idźcie bo oto jestem“.

Czujemy, widzimy, że mimo wszystko — trzeba iść, walczyć, krwawić stopy, staczać się z pochyłości, to znów napowrót wdrapywać na skalne wydroża, bo jest tam w górze ideał, jest świat Piękna i Dobra otwarty dla tych, którzy weń wierzą!...

Słuchaj, słuchaj głosów tej przepotężnej Nocy biedny pajacu... słuchaj ich dziś u progu nowego stulecia, który ma być jednym więcej szczeblem ku wyżynom.. słuchaj i krzep się w duszy spętanej lękiem i gotuj się do nowego życia. A życie to niechaj będzie wiarą w ideę, co poczęta w Betleem rozrzuciła złote promienie nad światem i uczy obok rzeczywistości życia uznawać inną większą, świętszą, droższą rzeczywistość bożych prawd, tę rzeczywistość, co króluje nieśmiertelna, niepokalana na wyżynach... co sama jedna jest Drogą, Prawdą i Żywotem! *Keryks.*

Do czytelników „Głosu Narodu“!

Począwszy od dnia 1 stycznia 1900 wydawnictwo *Głosu Narodu* zostaje znacznie rozszerzone bez żadnego podwyższenia prenumeraty.

„GŁOS NARODU“

będzie wydawany od Nowego Roku

dwa razy dziennie.

Numer poranny *Głosu Narodu* wychodzić będzie

o godzinie 8 rano.

Numer popołudniowy *Głosu Narodu* znajdować się będzie w rękach wszystkich abonentów miejskich

o godzinie 2 popołudniu.

Temu ogromnemu powiększeniu rozmiarów dziennika i obfitości jego tekstu towarzyszyć będą

gruntowne ulepszenia

zarówno w dziale informacyjnym, jakoteż we wszystkich innych kierunkach redakcyjnych.

Nie szczędząc nakładów, ni pracy, będzie staraniem redakcji, postawić *Głos Narodu* na wyżynie wymagań nowożytnej techniki publicystycznej

jako pierwszorzędny dziennik kraju,

taki bowiem obowiązek nakłada na redakcję zwiększająca się z dniem każdym liczba czytelników i przyjaciół, oraz rosnąca w szerokich kołach ludności popularność *Głosu*.

Dotychczasowe rozmiary dziennika okazały się stanowczo za małe, aby temu obowiązkowi sprostać, to też, bez względu na trudności, zdecydowaliśmy si przystąpić do daleko idących ofiar, które stały się możliwe dzięki gorącemu poparciu, jakiego ze strony naszych abonentów doznajemy. Miło nam też, iż zapowiedź dwukrotnej dziennej edycji *Głosu Narodu*, możemy dziś złożyć naszym czytelnikom w gwiazdkowym upominku.

Nie myślimy występować z szumnemi zapowiedziami. Chcemy, aby praca nasza sama za siebie mówiła. Niewzruszony kierunek demokratyczny, chrześcijański i narodowy, któremu zostajemy wierni od chwili założenia naszego dziennika, poparty nieugiętą odwagą swego przekonania i najzupełniejszą, najdumniejszą niezawisłością, jest dla nas rękojmią, że ten serdeczny węzeł, zawiązany pomiędzy redakcją dziennika a jego czytelnikami, z każdym dniem silniej będzie się zacieśniał.

To też, chociaż daleko jeszcze do zwycięstwa naszych politycznych i społecznych haseł, z tem większym zapałem na przełomie nowego roku i nowego wieku przystępujemy do dalszej pracy, której jest tak ogromnie wiele na każdem polu — w przekonaniu, popartem przez niejeden pomyślny objaw, że ta praca nie idzie na marne, ale zaczyna już przynosić plon radosny.

W roku przyszłym drukować będziemy na szpaltach *Głosu* wielką oryginalną powieść historyczną polską, umyślnie dla naszego dziennika napisaną,

ku uczczeniu jubileuszu Uniw. Jagiell.

przez Bogdana Jaxę Ronikiera,

utalentowanego autora dramatycznego, którego dzieła cieszyły się nadzwyczajnem powodzeniem na scenie krakowskiej i warszawskiej, i zyskiwały laury na warszawskich konkursach dramatycznych. Mniemamy, że powieścią tą, osnutą na tle epoki i wypadków, związanych z założeniem Uniwersytetu Jagiellońskiego, godnie się przyczynimy w naszym zakresie do uczczenia tej wielkiej dziejowej rocznicy, którą Kraków będzie święcił w roku 1900 z niezwykłą świetnością. Powieść będzie miała tytuł:

Alma Mater.

Nadto w roku 1900 rozpoczniemy na szpaltach *Głosu* druk wielkiej, napół historycznej trylogji powieściowej, obejmującej pod zbiorowym tytułem:

Wiek łez i krwi

całe nasze dzieje w wieku właśnie ubiegłym, od czasu Legjonów aż po chwilę dzisiejszą.

Każda część tej trylogji będzie nosiła tytuł, zaczerpnięty z pieśni narodowej. Pierwsza powieść p. t.: **„Jeszcze Polska nie zginęła“**, obejmować będzie epokę aż do rewolucji listopadowej. Druga powieść p. t. **„Z dymem pożarów“**, kończyć się będzie obrazami styczniowego powstania. Trzecia, najzupełniej już współczesna, dotknie stosunków w Królestwie polskiem, oraz życia emigrantów polskich za Atlantykiem, a nosić będzie tytuł: **„Oj! nie traćwa nadziei!“**

W wychodzących bezpłatnie przy *Głosie Narodu*, tygodniowych arkuszach, „Bibljoteki powieściowych arcydzieł europejskich“, drukować będziemy romans genjalnego amerykańskiego powieściopisarza

Bret-Harta

osnuty na tle stosunków wśród pierwszych osadników Kalifornijskich p. t.

„Gabryel Conroy“.

Telegraficzną i telefoniczną służbę informacyjną prócz naszych stałych korespondentów w Wiedniu i we Lwowie, obejmie od dnia 1-go stycznia c. k. telegraficzne i korespondencyjne Biuro w Wiedniu. Nadto zapewniliśmy sobie bezpośrednie informacje z kół parlamentarnych i sejmowych, oraz liczne oryginalne korespondencje z życia i wypadków bieżących w Paryżu, Berlinie, Rzymie, Londynie i Petersburgu. Szczególny nacisk położymy wreszcie na najdokładniejsze informowanie czytelników o wszystkich godnych uwagi faktach, obchodzących nasze społeczeństwo pod zaborem rosyjskim i pruskim — zwłaszcza zaś listy z Warszawy pojawiać się będą odtąd w regularnych odstępach czasu. Nawiązaliśmy nadto żywe stosunki z centrum ruchu politycznego i umysłowego w całej zachodniej Słowiańszczyźnie.

Redakcja.

Naruszenie ustawy

w sądach krakowskich.

Czytelnikom naszym na Gwiazdkę możemy zakomunikować rzadką jaskółkę w naszej dziennikarskiej niedoli — wyrok najwyższego trybunału w Wiedniu na naszą korzyść, wyrok orzekający zasadniczo, iż dopuszczono się w sądach krakowskich naruszenia ustawy dwukrotnym wyrokiem, skazującym redaktora odpowiedzialnego *Głosu Narodu* ewentualnie na pięć dni aresztu za nieumieszczenie spostowania z §. 14 ustawy prasowej. Jest to wyrok o tyle, nietylko dla nas, ale dla całej prasy szczęśliwy i doniosły, że stwierdza w sposób stanowczy, iż paragraf 19 bywa fałszywie komentowany przez władze sądowe, skutkiem czego umożliwione jest jaskrawe nadużywanie tego paragrafu do celów polemicznych i politycznych. Korzystają z tego zwłaszcza żydzi w walce z naszym dziennikiem, a wskutek odmawiania zamieszczania takich sprostowań, które według naszych poglądów, popartych obecnie zasadniczem orzeczeniem trybunału najwyższego, sprzeciwiają się duchowi ustawy, redaktor *Głosu Narodu*, jak wiadomo, bywa karany grzywnami.

W nawale pracy nie mamy możności odwoływać się w każdym poszczególnym wypadku do wiedeńskiej jeneralnej prokuratorji państwa z prośbą o wzięcie ustawy w obronę. Adwokat krajowy dr. Flach postanowił jednak z okazji wyroków z dnia 22 grudnia i 12 maja spróbować tej drogi, aby wytworzyć raz na zawsze precedens, normujący zasadniczo prawo prasy co do odrzucania sprostowań, nadsyłanych pod pretekstem paragrafu 19-stego i wyzyskujących ten paragraf do przeróżnych celów nic wspólnego z upominaniem się o prawdę nie mających. Talentowi i prawniczej wiedzy dra Flacha udało się przekonać prawniczo jeneralną prokuratorję o potrzebie ujęcia się za ustawą z okazji zacytowanych wyroków. Trybunał najwyższy pod przewodnictwem pierwszego prezydenta Habietinka, do tego stopnia przyznał nam słuszność, iż nie ograniczył się do zasadniczego orzeczenia, ale nawet skasował już prawomocny wyrok, z powodu jego błędności, co jest rzeczą wogóle rzadko tylko się zdarzającą.

Znakomite motywy wyroku stwierdzają raz na zawsze, że: 1) „nie można domagać się na zasadzie § 19 u. p. umieszczenia sprostowania artykułu odnoszącego się do trzeciej osoby“; 2) „niema również redaktor obowiązku umieszczać sprostowania, które nie ogranicza się tylko do faktycznych twierdzeń; 3) *„niema redaktor obowiązku umieszczać sprostowania, które tylko mającym się sprostować faktom zaprzecza“*; 4) „redaktor nie jest uprawniony ani obowiązany z nadesłanego sprostowania wyłączać ustępy wychodzące poza granice faktycznych twierdzeń i pozostałą w ten sposób część sprostowania umieścić“. Wszyscy dziennikarze uznają całą doniosłość tego bardzo cennego zasadniczego orzeczenia.

Wyrok najwyższego trybunału, doręczony nam dopiero przed kilku dniami, podajemy niniejszem w dosłownem brzmieniu:

W Imieniu Jego Cesarskiej Mości!

C. k. Sąd Najwyższy jako Trybunał kasacyjny, wydał dnia 26 września 1899 r. pod przewodnictwem Pierwszego Prezydenta Dra Habietinka w przytomności ck. radców dworu Doboszyńskiego, Gotena, Kittnera, Dreszlera, Finy, Bernaczka, Dra Skalitzkyego, Dra Hofmokla, Dra Svobody, i ck. radcy Sądu krajowego wyższego Lewickiego jako Sędziów oraz ck. adjunkta sądowego Dra Preuza jako protokolanta, wskutek wniesionego przez ck. Generalną Prokuratorję Państwa zażalenia w obronie ustawy od wyroku ck. Sądu powiatowego w Krakowie z dnia 22 grudnia 1898 L. U. I 331—3/98 i ck. Sądu krajowego jako Trybunału apelacyjnego w Krakowie z dnia 12 maja 1899 L. Bl. III 134/99, którymi to wyrokami redaktor odpowiedzialny *Głosu Narodu* uznany został winnym przekroczenia z §. 21 ustawy prasowej i za to według §. 21 ust. pras. zasądzony na karę pieniężną 25 złr. na fundusz ubogich miasta Krakowa, względnie 5 dni aresztu, według §. 389 ust. pr. na zwrot kosztów prawnych postępowania karnego i na zwrot przyznanych oskarżycielowi prywatnemu kosztów 6 zł. oraz zobowiązany do natychmiastowego umieszczenia sprostowania pod rygorem zawieszenia czasopisma, aż do wypełnienia tego obowiązku — po przeprowadzonej jawnej rozprawie, po wysłuchaniu sprawozdania ck. Radcy dworu Dra Hofmokla i wywodu ich generalnego adwokata Sieglera jako zastępcy ck. Generalnej Prokuratorji, następujące orzeczenie:

Wyrokami ck. Sądu powiatowego w Krakowie z d. 22 Grudnia 1898 U I. 331-3/98 i ck. Sądu krajowego jako Trybunału apelacyjnego w Krakowie z dnia 12 Maja 1899 Bl. VII 134/99 została ustawa a w szczególności §§. 19 i 21 ustawy pras. naruszone, wyroki powyższe stosownie do przepisów §§. 33 i 292 p. k., jako nieważne się znosi i orzeka się w sprawie samej: Redaktor odpowiedzialny *Głosu Narodu* zostaje od oskarżenia o przekroczenie §. 21 ust. pr. popełnione, przez to, iż jako odpowiedzialny redaktor pisma *Głos Narodu* przesłane mu przez Dra Ignacego Süessera dnia 1 listopada 1898 sprostowanie umieszczonego w Nr. 248 z dnia 29 października 1898 tegoż pisma artykułu pod tyt. „Uwagi“ nie umieścił — w myśl §. 259 l. 3 p. k. uwolnionym, zaś w myśl §. 390 p. k. wolnym jest również od obowiązku ponoszenia kosztów postępowania karnego.

Powody.

W numerze 248 z dnia 29 Październiką umieściło pismo *Głos Narodu* dłuższy artykuł pod tytułem „Uwagi“. W artykule tym poddano ujemnej krytyce działalność tz. „Młodej Polski“ i jej przewódców i powiedziano, że do tych przewódców a zarazem reprezentantów organu „Młodej Polski“ — *Dziennika krakowskiego* — należał Dr Ignacy Süesser, który swego czasu namówił Dr. Artura Górskiego do napisania w rzeczonym dzienniku artykułu wyszydzającego zwyczaje i obrzędy Kościoła rzymsko-katolickiego.

Z okazji powyższego artykułu zażądał Dr. Ignacy Süesser na podstawie §. 19 ust. pr. umieszczenia sprostowania.

W pierwszych czterech ustępach tego, do aktów karnych dołączonego sprostowania, zaprzecza autor prawdziwości twierdzeń wzmiankowanego artykułu. W ostatnim ustępie sprostowania odpiera autor zarzut, jakoby na umieszczenie artykułu w *Dzienniku krakowskim* jakikolwiek wpływ wywarł, nazywa przypuszczenie, jakoby Dr Artur Górski artykuł ów za namową lub wpływem trzeciej osoby umieścił, nieuzasadnionem i przytacza na dowód bezpodstawności tego przypuszczenia, jak niemniej na dowód, że artykuł Dr. Artura Górskiego nie zawierał nic karygodnego, fakt, iż ten ostatni wyrokiem c. k. Sądu przysięgłych w Krakowie od tego zarzutu uwolniony został.

Umieszczenia tego sprostowania redakcja odmówiła, wskutek czego wniesiono przeciw niej oskarżenie o przekroczenie z §. 21 ust. pras.

Podczas rozprawy w c. k. Sądzie powiatowym w Krakowie przeprowadzonej, twierdził zastępca oskarżonego redaktora, że tenże nie miał obowiązku umieszczenia sprostowania, głównie dlatego, ponieważ końcowa część sprostowania zawierała twierdzenia do rzeczy nie należące, a redaktor nie ma prawa wyrzucać ze sprostowania jakiegoś ustępu, przekraczającego granice faktycznego sprostowania, chociażby nawet oddzielenie tego ustępu łatwo dało się przeprowadzić i umieścić tylko pozostałą część sprostowania.

Sąd *powiatowy* uznał oskarżonego wyrokiem z dnia 22 Grudnia 1899 U I $^{331}/_{3}/98$ winnym przekroczenia z §. 21 ust. pras. i *zasądził go na karę pieniężną 25 zlr. (ewentualnie 5 dni aresztu), na zwrot kosztów postępowania karnego i zwrot kosztów zastępstwa strony przeciwnej w kwocie 6 zlr. i nałożył na niego* obowiązek natychmiastowego umieszczenia sprostowania *pod rygorem zawieszenia wydawnictwa, aż do dopełnienia tego obowiązku.*

Nie zastanawiając się nawet bliżej nad tą kwestją, czy podniesiony przez oskarżonego w obronie zarzut w myśl obowiązujących przepisow prawnych usprawiedliwia odmowę żądanego umieszczenia sprostowania czy też nie, Sąd powiatowy wyszedł z założenia, że redaktor dziennika jest obowiązany umieścić każde nadesłane mu sprostowanie!

Wniesione od tego wyroku odwołanie c. k. Sąd krajowy w Krakowie wyrokiem z dnia 12 Maja 1899 Bl. VII 134/99 uwględnił jedynie o tyle, że polecił oskarżonemu umieścić tylko pierwsze 4 ustępy sprostowania, natomiast uwolnił go od obowiązku umieszczenia końcowego ustępu sprostowania na tej zasadzie, że ustęp ten nie zawiera żadnego sprostowania, lecz tylko uwagi i refleksję Dra Ignacego Süessera o treści umieszczonego w czasopiśmie *Głos Narodu* artykułu.

Oba te wyroki wykraczają przeciw przepisom ustawy.

Z jednej strony nie można się domagać na zasadzie §. 19 u. p. umieszczenia sprostowania artykułu odnoszącego się do trzeciej osoby, z drugiej strony nie ma również redaktor obowiązku umieszczać sprostowania, które nie ogranicza się do faktycznych twierdzeń, lub które tylko mającym się sprostować faktom zaprzecza. Również nie jest redaktor ani uprawniony, ani obowiązany z nadesłanego sprostowania wyłączać ustępy wychodzące po za granicę faktycznych twierdzeń i pozostałą w ten sposób część sprostowania umieścić.

We wszystkich tych wypadkach powinien redaktor w ogóle umieszczenia sprostowania zaniechać.

Otóż wyroki obydwóch niższych instancyj w sprawie niniejszej wydane niewątpliwie zasadom powyższym nie odpowiadają i dlatego są pod względem prawnym mylne.

Odpowiedź Dr. Ignacego Süessera nie ograniczała się do rzeczonego sprostowania faktycznych twierdzeń, *do niego* się odnoszących; przeciwnie Dr. Süesser, nie mając do tego legitymacji, uzurpował sobie prawo występowania w obronie zaczepionego w *Głosie Narodu* Dr. Artura Górskiego odnośnie do umieszczonego w *Dzienniku krakowskim* artykułu, a nadto, nie zadawalniając się rzeczową odpowiedzią na faktyczne twierdzenie jego osoby dotyczące, twierdzenie to krytykował, a mianowicie, powołując się na rzekomy wyrok uwalniający, zaprzeczył, jakoby umieszczony w *Dzienniku krakowskim*

artykuł zawierał znamiona czynu karygodnego.

A już całkiem nieuzasadnione jest orzeczenie Sądu apelacyjnego, który przyznając, że redaktor *Głosu Narodu* miał częściowo prawo odmówić umieszczenia sprostowania, mimo to zmusił go do umieszczenia tego sprostowania, o tyle, o ile ono było usprawiedliwionem.

Należało zatem wskutek wniesionego przez Generalną Prokuratorję zażalenia w obronie ustawy oba wyroki niższosądowe w myśl §. 292 p. k. *jako nieważne znieść i oskarżonego redaktora „Głosu Narodu" od oskarżenia o przekroczenie z §. 21 u. p. w myśl §. 259 p. k. uwolnić.*

C. k. Sąd Najwyższy i kassacyjny, Wiedeń, 26 września 1899 r. *Habietinek* m. p.

Wojna w Południowej Afryce.



Prezydent Transwaalu Krüger.

Gdy przez zbrodniczą grę Chamberlaina, dla którego ujarzmienie Boerów przez Anglję osobisty przedstawiało interes olbrzymiej doniosłości, jako dla akcjonarjusza transwalskich kopalni djamentów, w początkach października została Boerom narzucona wojna o ich niepodległość, wtedy z lekceważeniem płynęli do Afryki dumni lordowie, zapełniający kadry oficerskie armji angielskiej, wyobrażając sobie tę wojnę jako rodzaj „spaceru wojskowego do Pretorji", a powszechne było przekonanie, że święta Bożego Narodzenia spędzi armja angielska już w stolicy nieprzyjacielskiej.

Otóż te święta nadeszły, a Anglicy, pomimo, iż już prawie cały swój zasób sił lądowych wyczerpali, nie tylko że nie zdołali wtargnąć na terytorjum transwalskie, ale, poniósłszy na wszystkich teatrach wojny stanowcze klęski, utracili nadzieję obronienia tak ważnych punktów jak Ladysmith, Mafeking i Kimberley, dali się wyprzeć z całej północnej i zachodniej części Natalu a nawet w kolonji Przylądka Dobrej Nadziei przestali już być panami wyłącznymi. Srodze pomściła się na Anglikach ich zaborczość, połączona z niesłychanem zaślepieniem i lekceważeniem nieprzyjaciela, który ich pod każdym względem o głowę przewyższa.



Jenerał Redvers Henry Buller,
dotychczasowy naczelny wódz Anglików, rozgromiony nad Tugelą.

Z pogromem głównej armji Bullera pod Colenso-Chiveley, został zamknięty pierwszy wielki okres wojny, wbrew oczekiwaniu całego świata, stanowczo na niekorzyść Anglji, której potęga upadła może na zawsze w Afryce Południowej. Jak wypadnie dla Anglików drugi okres tej wojny, zainaugurowany zmianą w dowództwie naczelnem armji i postawieniem na jej czele znanych z kampanij indyjskich, względnie sudańskich, jenerałów Roberts i Kitchenera, o tem trudno przesądzać, ale z pierwotnych śmiałych nadziei zrezygnowali nawet i najwięksi optymiści.



Jenerał Kiczener Basza,
zwycięzca w Sudanie, nowy szef szt. w Afryce Połud

Kiedy 11-go października wyonchła wojna, stała w Natalu i Kaplandji tylko jedna dywizja angielska, dywizja 4 ta pod dowództwem jenerała White, złożona z wojsk garnizonujących stale w Afryce Południowej. oraz z jednej brygady anglo-indyjskiej.

Sprzymierzone armje Boerów Transwaalu i rzeczypospolitej Orańskiej, wyzyskując brak gotowości wojennej u nieprzyjaciela, rozpoczęły ogólne działania zaczepne w czwartek 12 października wieczorem, wkraczając na wschodzie, od północy i od zachodu do angielskiego Natalu, na zachodzie zaś do kraju Grigua i Becznanów, operując tam na linję kolejową, prowadzącą z południa ku północy od Captown do Rhodezji i atakując miasta Kimberley, Mafeking, Vryburg. Rozkład sił obustronnych był tego rodzaju, iż odrazu teatr natalski przedstawiał się jako pierwszorzędny. W nocy z 12 na 13 października wkroczyli Orańczycy pod jenerałem Viljoen od strony Harrysmith, postępując przez wąwozy Tintwa i Van Reenen do Natalu, główna armja Boerów pod Joubertem samym z północy od Laingsneck, lewa wreszcie kolumna Boerów od Utrecht i Vryheid w kierunku na Dundee i Helpmakar. Skombinowane te operacje, nader zręcznie ułożone, zostały w krótkim stosunkowo czasie pomyślnym uwieńczone skutkiem. Wojska angielskie opuściły bez wystrzału wysunięte swe ku północy placówki Charlestown i Newcastle, zajmując obronną pozycję między Dundee a Glencoe. Tutaj przyszło w piątek dnia 20 października do pierwszej krwawej potyczki. Otrąbiona zrazu *urbi et orbi* jako świetny trjumf oręża angielskiego, okazała się ona niebawem strategicznem zwycięztwem Boerów, którzy już w sobotę dalej wykonywali swój pochód koncentryczny na Ladysmith, podczas gdy White cofnął się tam z



Jenerał White,
dowódca oblężonego Ladysmith

jądrem swej dywizji, jako do miejsca nadającego się lepiej niż wszystkie inne, ze względu na swe położenie, na centralną pozycję strategiczną. W bitwie pod Glencoe padł śmiertelnie ranny dzielny angielski jenerał Symons. Wskutek tej bitwy oraz obu niemniej krwawych potyczek pod Elandslaagte, około 26 października połączenie wszystkich trzech kolumn boerskich opodal Ladysmith było faktem dokonanym, a dywizja Whitego została zamknięta ze wszech stron w tem mieście, zdoławszy się szczęśliwie połączyć z brygadą Yule, która z pod Glencoe i Elandslaagte nadzwyczaj trudny musiała wykonywać odwrót, przy którym była wystawiona na niebezpieczeństwo dostania się do niewoli.

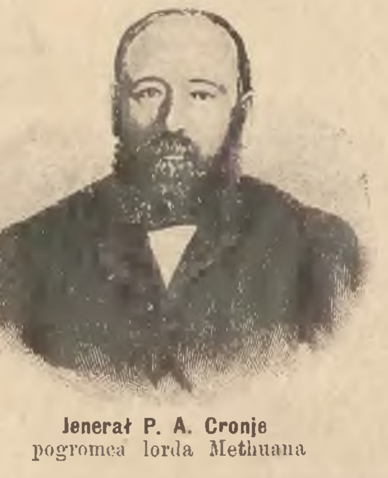
Tak więc skombinowana operacja armij boerskich powiodła się całkowicie, a z zamknięciem Whitego w Ladysmith, nastąpił dłuższy zastój w operacjach.

Na zachodnim tymczasem teatrze cała walka skoncentrowała się około wspomnionej wyżej linji kolejowej i około twierdz granicznych Mafeking i Kimberley. Zresztą nie było tam w tym okresie żadnych godniejszych uwagi wypadków.

Tak stały rzeczy, kiedy ostatniego dnia października przybył do Captown nowo mianowany jeneralissimus angielski Buller, a po nim trzy silne dywizje posiłków 1-sza, 2-ga, 3-cia, oraz samodzielna dywizja jazdy. Buller, zamiast skoncentrować wszystkie rozporządzalne siły w jedną masę i pchnąć je do Natalu w kierunku Ladysmith, którego położenie z dniem każdym stawało się rozpaczliwszem, i tam szukać rozstrzygnienia całości, podzielił, wbrew elementarnym postulatom zasad strategji, armję swą na trzy części, z których każda, przeznaczona do działania na odrębnym teatrze wojny, samodzielne otrzymała zadanie. I tak dywizja lorda Methuan, w której służy kwiat arystokracji angielskiej, pospiesznymi marszami została wysłana na odsiecz Kimberley.

Główną przyczyną takiej pieczołowitości o rzeczoną miejscowość nie była obawa ani o załogę tam oblężoną, ani o miasto samo, lecz raczej o los cennej osoby Cecyla Rhodesa, który tam jest zamknięty, i zdaje się, że tu zawinił nie tyle pomysł samego Bullera, ile instrukcje dane mu drogą w Londynie przez ministerstwo wojny, które pragnęłoby uchronić Rhodesa od przykrości niewoli. Równocześnie dywizja piechoty jenerała Gatacre i samodzielna dywizja jazdy jenerała French, otrzymały polecenie eb sadzenia północnej części kolonji Przylądka Dobrej Nadziei, aby tam z jednej strony zastawić tyły dywizji Methuana i bronić jego linij odwrotowych, z drugiej stłumić w zarodku rozszerzające się powstanie Afrykandrów, pochodzenia holenderskiego. Sam wreszcie Buller z główną armją ruszył od Durbanu przez Pietermaritzburg — po długich zresztą przygotowaniach i szkodliwych zwłokach i wachaniach się — nad rzekę Tugelę, nad którą oczekiwała go główna armja Boerów. Część tej armji stanęła w pozycji obronnej nad brzegiem wspomnianej rzeki, część zaś oblegała dalej i bombardowała Whitego w Ladysmith.

Cały ten plan był z gruntu fałszywy, ale wykonanie jego było jeszcze niedołężniejsze i nieszczęśliwsze. Na Zachodzie Methuan, zostawiwszy dla ułatwienia swego szybkiego pochodu tren żywności i artylerji daleko w tyle, dotarł forsownymi marszami wzdłuż prawicy republiki orańskiej aż w pobliże Kimberley. Stoczywszy 23 i 25 listopada z orańskim jenerałem Cronje



Jenerał P. A. Cronje
pogromca lorda Methuana

dwie potyczki krwawe pod Belmont i Graspan, które były zwycięstwami iście pyrrusowemi, poniósł w dalszym ciągu swego pochodu ciężkie klęski nad rzeką Modder i Maggerfontein, wskutek których zamiar odsieczy Kimberley zupełnie został udaremniony. Obecnie dywizja ta jest niezdolna do akcji, zdziesiątkowana, zdemoralizowana i odcięta przez bandy insurgentów od swych komunikacyj, tak, iż o dalsze jej losy panują bardzo poważne obawy.

Na kaplandzkim teatrze wojny tymczasem jenerałowie Gatacre i French nietylko że nie zdołali utrzymać komunikacji z Methuanem i obronić powierzonych sobie linij kolejowych, ale Gotacre poniósł nadto nader ciężką klęskę pod Stormberg, pierwszą w tej wojnie, do której się odrazu urzędowe depesze angielskie przyznały. Ośmieleni tą klęską mieszkańcy rasy holenderskiej. tłumnie zaczęli podnosić zbrojny bunt i powstanie zaczęło się szerzyć z siłą żywiołową.

Wszystkie te nieszczęścia mogły były jeszcze zostać zrównoważone przez jaki większy sukces samego Bullera, który w razie zwycięstwa byłby uwolnił Ladysmith i połączył się z oblężonymi tamże 9.000 żołnierzy Whitego. Tymczasem właśnie Buller, ta ostatnia nadzieja Anglji, poniósł sam straszny pogrom nad rzeką Tugelą, program, z którego z całej swej artylerji zdołał ocalić zaledwie dwa działa. Dla Ladysmith nie ma już teraz żadnego z zewnątrz ratunku, a załoga sama jest już zbyt wyczerpana, aby mogła długo się bronić przeciw naporowi Boerów. Kapitulacja Ladysmith jest już tylko kwestją czasu. Nawet linje odwrotowe Bullera są poważnie zagrożone przez rozszerzający się ruch powstańczy, podczas gdy Boerowie z niego codziennie nowe czerpią siły. Liczba powstańców, którzy dotychczas z bronią w ręku przyłączyli się do ich armji, wynosi już teraz około 15.000.



Jenerał Joubert,
naczelny wódz Boerów.

Dodajmy w końcu, że piąta dywizja, której część już wylądowała w Capetown, a szósta jeszcze na pełnem znajduje się morzu, nie stanie na natalskim teatrze wojny przed połową stycznia, a dywizja szósta, która dopiero odpłynęła z Southampton, nie nadejdzie tam przed początkiem lutego. Co się zaś tymczasem stanie, tego przewidzieć trudno, w każdym razie Boerowie nie omieszkają z pewnością wyzyskać swego położenia i sprzyjać owoców ze swych zwycięstw. Skoro Ladysmith padnie, wtedy pobity Buller nie zdoła powstrzymać wkroczenia głównej armji Boerów do Kaplandji, a wkroczenie takie dałoby ostateczny impuls do powstania, jak jeden mąż wszystkich mieszkańców tamtejszych rasy holenderskiej przeciw panowaniu angielskiemu.



Kalif Abdullah,
zabity przez armję Kiczenera, wódz Derwiszów.



Osman Digma,
jedyny z wodzów sudańskich, który uszedł z życiem.

Dwie godziny w pracowni Szczepanika.

Twierdzenie dwóch bardzo wybitnych techników lwowskich, wypowiedziane publicznie na zebraniu techników przed jakimś czasem we Lwowie, jakoby skonstruowanie przyrządu, mogącego zapomocą drutów przewodnich przenosić obrazy na odległości, który miał wynaleźć pan Jan Szczepanik pod nazwą teleelektroskopu, było niemożliwe, skłoniło mnie tem więcej do przekonania się naocznego na miejscu w pracowni u Szczepanika, czy wynalazek ten istnieje, gdy ci bardzo uzdolnieni i wysokie w społeczeństwie zajmujący stanowiska uczeni technicy, twierdzenie swoje dowodami materjalnemi i teoretycznemi popierali.

Niemniej również do zobaczenia osoby sławnego wynalazcy i jego wynalazków, skłaniała mnie chęć pozyskania w nim wystawcy na wystawę przyrodniczo-lekarską, którą mi polecili koledzy moi urządzić podczas zjazdu lekarzy i przyrodników polskich w Krakowie w lipcu r. p. odbyć się mającego.

Z gazet wiedziałem, że w dzielnicy Wiednia Landstrasse przy Ungergasse ma się znajdować dom umyślnie dla celów Szczepanika stawiany i tam się też udałem, pewny, że bliższą drogę wskażą mi jakie olbrzymie ogłoszenia i zwykłe w Wiedniu reklamowe szyldy.

Zawiodłem się jednak, gdyż nic bijącego w oczy nie spostrzegłem, coby mi mogło ułatwić odnalezienie miejsca, gdzie nasz wielki ziomek ubiera w kształty dotykalne płody swojego wynalazczego ducha. Aż dopiero od nadzwyczaj uprzejmego dozorcy policyjnego dowiedziałem się, że „der berühmte Jan Szczepanik" ma swoją pracownię pod L. 12, i że tam też na I. piętrze mieszka.

W sieni domu elegancką bramą zamkniętego, cisza niezdradzająca wcale życia fabrycznego i tylko duża marmurowa tablica w murze oznajmia napisem „Société des Inventions Jan Szczepanik et Comp.", że to tutaj genjusz wynalazczy obrał swoje chwilowe siedlisko.

Bardzo piękne, kamienne, białe schody z balustradą żelazną, bogato ozdobioną, prowadzą na piętra. W mezaninie, jak świadczy napis na drzwiach wchodowych, mieszczą się biura, na I. piętrze jest mieszkanie i kancelarja do przyjmowania interesantów, obok sekretarjat i gabinet dla telefonu.

W przedpokoju przyjmuje bardzo grzeczny wyszamerowany służący i wprowadza gościa do obszernego salonu, miękkim pokrytego dywanem. W połowie tego salonu na podniesieniu o jeden stopień, galeryjką od reszty pokoju odgrodzone stoją dwa jednakie biurka pięknie w orzechu amerykańskim odrobione, w pośrodku stół z płytą szklaną i kilka wygodnych koblercowych foteli.

Na dźwięk mowy ojczystej ożywiają się oczy obu zasiadających się tutaj panów, jeden to pan Szczepanik, drugi jego wspólnik Kleinberg. Rozmowa z początku nieco sztywna, po chwili, gdy cel wizyty jasno postawiony, żywa i serdeczna. Wątpliwość w możliwe istnienie teleelektroskopu działa olbrzymio podniecająco, zamiar obesłania wystawy przyrodniczo-lekarskiej zjazdu lekarzy polskich w Krakowie traktuje się wprost jako rzecz patrjotyczną.

Rozmowa toczy się wartko. Szczepanik robi wrażenie człowieka zażenowanego, ogromnie skromnego, w postanowieniach oględnego a jak-

by wyczekującego na decyzję spólnika swego i kierownika działu handlowego p. Kleinberga, który, z przyjemnością to stwierdzam, w każdem słowie stara się okazać, że chce być dobrym Polakiem.

W czasie rozmowy wchodzi sekretarz, również Polak, chcący wprowadzić jakiegoś interesanta, co wobec gościa z Krakowa trafia na odmowę; niespokojny jednak duch Szczepanika nie pozwala mu usiedzieć, wychodzi, aby się dowiedzieć, o co temu nowemu gościowi idzie.

— Czy panowie macie wszystkich funkcjonarjuszów Polaków tak jak sekretarza? — zapytuję.

— Mieliśmy — odpowiada p. Kleinberg, ale nam się zbuntowali, pobili nam Niemców, dla utrzymania więc powagi musieliśmy ich odprawić, od 1-go jednak stycznia z powrotem ich przyjmujemy wszystkich, oprócz jednego, który się do Paryża przesiedlił. Przyjmujemy ich z powrotem nie tylko przez wzgląd na patrjotyzm ale także i z praktycznych względów, bo polscy mieszkańcy, a szczególniej Polacy z Królestwa są daleko wolniejsi niż Niemcy. Ale! a propos teleelektroskopu. O rewelacjach lwowskich uczonych p. Szczepanik wie i ogromnie go ubawiły, bo tem wyżej swój wynalazek nauczył się cenić, gdy mu tskie poważne figury kategorycznie oświadczyły, że to niemożliwe, podczas gdy to już jest!!

Możliwość przesyłania na wszelkie odległości druków, aktów, rysunków jest faktem dokonanym, nie rozwiązaną jest jeszcze kwestja przesyłania obrazów w kolorach. Przed lusterkiem teleelektroskopu postawiony człowiek może być widzianym i w setki mil, jednakże tylko tak jakby był namalowany tuszem.

Kiedy błyśnie Szczepanikowi sposób dokonania wynalazku, aby widzieć było można teleelektroskopem wszystko w barwach naturalnych, tego przewidzieć nie można; czy to odkryje przy czarnej kawie, czy ze snu się przebudziwszy, czy się to stanie za godzinę, miesiąc, czy też już może się stało? (bo od chwili gdym z nim rozmawiał do chwil i gdy to piszę cztery dni minęły) na to pytanie odpowiedzieć nie podobna; jest to jednakże prawie pewnem gdy się wie czego już ten umysł wyjątkowy dokazał.

Opowiadania, błąkające się po różnych pismach ziemi, jakoby istniało konsorcjum mające na celu wyzyskiwanie teleelektroskopu na wystawie paryskiej w ten sposób, iżby publiczność za opłatą mogła widzieć w Paryżu odbywające się pod Moskwą manewry wojsk rosyjskich, jest bajką; prawdą jednakże jest, że *Times* ofiarował Szczepanikowi 60.000 funtów szterlingów, za pozwolenie używania teleelektroskopu w tym celu, aby gazeta ta podczas wystawy w Paryżu była składaną, i aby ją można w godzinę po wydaniu w Paryżu reprodukować w Londynie.

Na propozycję tę jednak Szczepanik zgodzić się nie mógł, a to z tego powodu, że musiałby odkryć połowę tajemnicy swojego wynalazku i ułatwiłby tym sposobem owym setkom ludzi ślęczącym obecnie nad ubiegnięciem go w wynalezieniu drugiej połowy teleelektroskopu, a mianowicie przesyłania obrazów w barwach naturalnych.

Zwiedzanie pracowni rozpoczęliśmy od 4-go piętra, na które wyciągnęła nas winda w kształcie małego saloniku urządzona. Dwa frontowe pokoje, z których jeden 10 metrów ma długości, reprezentują tutaj aparat fotograficzny. Kamera aparatu fotograficznego, który się nam przedstawia jako pudło o bokach harmonijki ręcznej, to właśnie ten duży pokój na czarno malowany bez okna, bez szczelinki dla światła. Na olbrzymich szynach, w kierunku długości tego pokoju włożonych, przesuwać można kolosalną ramę, w której się mieści szyba półtora metra, czy też więcej w kwadrat mająca, a będąca ową płytą na którą obraz fotograficznego przedmiotu pada. W ścianie naprzeciw tej szyby, po szynach ruchomej, znajduje się otwór zakończony w drugim pokoju olbrzymią soczewką, taką jak chleb prądnicki, a przed nią znajduje się ognisko światła elektrycznego. Na tym to aparacie dokonywuje się powiększeń obrazów potrzebnych do tkactwa.

Obok tych dwóch pokoi, będących rzeczywiście aparatem fotograficznym wielkoluda jak w tym przypadku wielkoluda myśli, znajdują się kąpiele do wywoływania obrazów, będące takiemi sobie miseczkami po trzy metry długości, a dwa metry szerokości mającemi.

Na 3-ciem piętrze budynku są warsztaty mechaników i sale dla rysowników. I tu nie słychać stuków, chałasów ni głosów ludzkich. Kilkunastu mechaników zapatrzonych w szkła powiększające wykonywują w sali z mosiądzu precyzyjne roboty modelów jakichś, o niesłychanie oryginalnych kształtach, przedmiotów, mających być częściami składowemi już wynalezionych przez Szczepanika machin lub też w myśli jego jeszcze tkwiących projektów, które w formę ubrane. dalej probując, udoskonala, nim się niemi z ludzkością podzieli.

Osobno pracuje staruszek, amator mechanik, ale nie dla zysku, bo zaledwie 120 złr. miesięcznie pobiera i jest zamożnym człowiekiem. Ten jest bałwochwalczym zwolennikiem Szczepanika i podobno najlepiej rozumieją się oni ze sobą.

W tej pracowni mechaników zwróciła na siebie uwagę moją maszynka podobna do tej zwykle używanej maszyny do pisania; no i pokazało się że rzeczywiście jest to maszyna taka, ale w ten sposób przez Szczepanika ulepszona, że z powodu bardzo prostej konstrukcji będzie bardzo tania, bo, jak mi obliczono, koszt zrobienia jej wynosić będzie mniej niż 30 złr. Gdyby więc drugie tyle jeszcze fabrykant na niej chciał zarobić, to będzie ona tańsza od najtańszych dotychczas znanych. Największą zaś jej zaletą oprócz taniości będzie wytrzymałość i niełatwość zepsucia, a to z powodu swej bardzo prostej konstrukcji.

Drugie piętro zajmują małe warsztaty tkackie ale ich bliżej opisać nie potrafię, bo to zbyt jest specjalny przedmiot, to tylko zaznaczę, że pracują na nich dziewczęta. Na tem samem piętrze znajduje się duża sala, w której zgromadzone są w modelach wykonane wynalazki Szczepanika i sala ta przedstawia się podobnie jak duży gabinet fizyczny jakiegoś uniwersytetu.

Ale nie dwóch godzin potrzebaby na obejrzenie i spróbowanie w funkcjonowaniu tych czarodziejskich instrumentów, to też nie dla pisma fachowego, ani dla fachowej publiczności piszę, sam nie będąc fizykiem, ale lekarzem.

Ulepszone promienie Röntgena zwróciły moją na siebię uwagę. Przyrządem tym bez zaciemniania pokoju, bez jakichkolwiek przygotowań oglądałem swoje własne kości w ręce i w nogach bez zwlekania w okamgnieniu. O przyrządzie do mierzenia siły elektrycznej, jako o przedmiocie zbyt specjalnym, a może tylko profesora fizyki obchodzącym, też nie będę opowiadał, ale przejdę do rzeczy ogólniejszej. Taką jest przyrząd do zabezpieczenia pociągów kolejowych przed zderzeniem. Kwestja na pozór prawie niemożliwa, przez Szczepanika została rozwiązaną i to zupełnie, skończenie, doskonale; szkoda tylko, że pierwsi Anglicy, a nie my, to jest nie Zarząd państwowych kolei austrjackich przyrząd ten wziął celem wyprobowania.

Dwie są składowe części tego aparatu. Jedna stanowi specjalne światło, druga specjalną mięszaninę metalu. Światło to specjalne, działające nawet z odległości 4 kilometrów na ów metal, zmienia go w magnes, o ile mogłem wymiarkować. Koniec końców, światło to sprawia, że w przyrządzie znajdujący się dzwonek, pod wpływem tegoż światła funkcjonować zaczyna i w ten sposób ostrzega, że pociąg drugi pędzi naprzeciw.

U każdego pociągu kolejowego, chcąc go zabezpieczyć przed zderzeniem, należy u lokomotywy i na ostatnim wagonie przyczepić jedno pod drugim, to jest światło i aparat ostrzegający, dotego aparat połączyć z hamulcem, wtedy już w odległości 4 kilometrów jadące na siebie lub za sobą pociągi muszą natychmiast przystanąć. Ale światło to działa także i skośnie w ten sposób, że niekoniecznie pociągi musiałyby jechać w linii prostej na siebie, ale także i łukowato. Doświadczenie z tym przyrządem robiłem sam i skutek był rzeczywiście zadziwiający. Gdziekolwiek w pokoju światło to zapaliłem, dzwonek począł przeraźliwie dzwonić.

Tego samego światła użyć można do zapalania pocisków, na wojnie pozostawionych nieprzyjacielowi jako łup. I tę próbę przeprowadziłem z nabitą małą armatką, zaopatrzoną w zwyczajną kapslę, jakich się używało do dawnych kapslówek. W tej chwili, gdy w tym pokoju zapaliłem owo światło, wybuch nastąpił.

Niezmiernie ważny a zupełny przewrót w budowie teatrów czyniący wynalazek uczynił Szczepanik w ostatnich dniach. Jest to przyrząd, zapomocą którego można sfotografowany jakikolwiek widok czy wnętrze rzucać w kolorach naturalnych na białą ścianę. Ale nie tylko w kolorach, nietylko na jedną ścianę i nietylko płasko, ale na całe wnętrze, a więc na boki, to jest na dekoracje i kulisy, do tego wypukło tak, jak w stereoskopie, w ten sposób, że można widzieć na scenie np. drzewa wolno stojące i inne przedmioty, a dowcipny aktor mógłby nawet probować usiąść na takiem krześle, którego na scenie nie będzie.

W ten sposób sfotografowaną kurtynę krakowskiego teatru będzie reprodukował Szczepanik w Paryżu na białej zasłonie jednego z tamtejszych teatrów, mnie zaś osobiście obiecał zaprodukować w krakowskim teatrze podczas Wystawy przyrodniczo-lekarskiej cały szereg widoków ze świata, rzucanych na białe dekoracje i kulisy!! Cóż to za nadzwyczajne oszczędzenie kosztów i pracy ludzkiej przy zmianie dekoracji w operach i baletach fantastycznych, no i jaka szalona różnica w efekcie. Dotychczas przy najznakomitszych maszynerjach, przecież trzeba było ściemniać na kilka chwil scenę, aby przesunąć lub obrobić na drugą stronę kulisy, przyczem mimo dokładności wykonania, zawsze jakiś stuk słychać było; przy użyciu sposobu Szczepanika odbywać się to będzie w mgnieniu oka, nie będzie potrzeba owych osobnych budynków na dekoracje i nie będą banalne, bo będą przedstawiać mogły nawet tą samą okolicę, gdzie rzecz, dajmy na to historyczna, się odbywała.

Na tem samem piętrze znajdują się jeszcze dwa pokoje zupełnie ciemne, na czarno malowane, do których niestety już się nikogo nie wpuszcza, a to, jak mi tłomaczono, dlatego, aby pracy nie przerywać, ale jak mnie się zdaje, aby nie podpatrywać tajemnic owych wynalazków, które są dopiero w zawiązku.

Na parterze znajduje się największa maszyna tkacka, jaką dotychczas na świecie zbudowano. Cała ze stali, poruszana elektrycznością, przy której to maszynie zastosowane są już wszystkie ulepszenia przez Szczepanika obmyślane. W chwili gdyśmy we trzech tam przyszli, naciągnięta była nowa robota, a mianowicie próbowano tkać kwiaty jedwabne w ośmiu kolorach przez kombinację trzech nitek kolorowych, to jest różowej, zielonej i fjołkowej, co się rzeczywiście udało. Równocześnie na drugim walcu naciągnięty był znany nam z wystawy w Sukiennicach obraz Ranchingera, przedstawiający apoteozę Cesarza. Każdy z ministrów austrjackich dostaje taki egzemplarz w prezencie od wynalazcy na pamiątkę, dlatego jeszcze rzecz ta była na wale.

Obok tej maszyny stoi druga mniejsza i tu właśnie jest ów punkt ciężkości wynalazku Szczepanika w tkactwie. Maszyna ta robi szablony według fotografji w ten sposób, że robotę, którą dawniej trzy miesiące wykonywać musiało kilku ludzi, maszyna ta w kilka godzin sama załatwia. Na tem polega w pierwszym rzędzie udoskonalenie tkactwa i spowodowanie taniości wyrobu. Drugim zyskiem przez sposób Szczepanika w tkactwie uczynionym jest niezwykła precyzja i delikatność obrazu utkanego. Obraz tkany sposobem Szczepanika nie ma lewej strony, owych zamazań, jakie dotychczas otrzymywane tkaniny mieć musiały z powodu węzełków po nicach. Ot i w tej chwili patrzę na obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej tkany w Korczynie; jakaż to jednak różnica. Tu widać nitki, malaturę jakby z kleksów złożoną; w robotach Szczepanika bardzo trudno rozróżnić co jest wzorem ręką artysty malowanym a co tkaniną, i zaraz po zwiedzeniu tego warsztatu mogłem się o tem przekonać w mieszkaniu wynalazcy, gdzie rzeczywiście mimo bardzo silnego elektrycznego oświetlenia pomyliłem się kilkakrotnie i brałem dzieło sztuki malowane za wyrób tkacki, i odwrotnie, ku wielkiej uciesze wynalazcy.

Obok sali, w której stoi ów olbrzym tkacki, znajduje się ślusarnia i stolarnia, wszystkie bowiem modele oprócz odlewów na miejscu pod okiem Szczepanika wykonywują najzdolniejsi rzemieślnicy przy pomocy maszyn będących ostatnim wyrazem doskonałości.

W mieszkaniu Szczepanika, dokąd po zwiedzeniu wszystkiego udaliśmy się, a które jest z wielką wygodą i gustem urządzone, elektrycznie oświetlone a gazem ogrzane, dominują masy fotografji, różnych maszyn, piękne obrazy, a główne miejsce zajmują przepiękne włoskie skrzypce, bo nasz znakomity ziomek oprócz wynalazcy jest też i artystą. Skrzypce te to dar trzeciego spólnika, który stale w Paryżu mieszka i tam spółkę reprezentuje. Jak jednak niemcy zawsze i wszędzie zazdrosni są o polaków i jak ich kochają, małą tego próbkę widziałem u Szczepanika. W wydanem na jubileusz cesarski dziele luksusowem, które tu w kilkuset egzemplarzach wyszło (cena 500 złr. za egzemplarz) znajduje się na stronicy 214 artykuł pióra rektora politechniki wiedeńskiej o Szczepaniku. W artykule tym zachwyca się autor wynalazkami uczynionemi przez Szczepanika, po życiorysie cały hymn pochwalny pieje na rzecz jego, ale ostrożnie bardzo omija narodowość i wyrazu "polak" tam nie ma.

Państwo niemieckie utrudnia Szczepanikowi zawsze otrzymanie patentu; — zwykle trwa pół roku, aby patent na Niemcy otrzymać, ale na to Szczepanik rok co najmniej czekać musi. Mają też za to ogromną subjekcję w wymawianiu tego szanownego nazwiska, a przekręcają je do niemożliwości. Francuzi zaś są pod tym względem weselsi, bo bez ceremonji opuszczają Szczepanika, a zowią go Monsieur „Jan“.

Reklamy wszelakiej Szczepanik unika jak może, a to głównie dlatego, że ona za sobą sprowadza dużo nieprzyjemności, że tylko wspomnę owe setki listów z prośbą o zapomogę, z propozycjami różnych niemożliwych interesów, lub żądań takich, jak np. w liście, który przy mnie odebrano, a w którym jakiś pan restaurator, czy szynkarz Kielc, życzy sobie kupić od Szczepanika przyrząd, zapomocą którego mógłby na chmury rzucać oświetlony napis swojej firmy!!

Najlepszą cząstkę mnie, jako lekarza, a oczywiście i kolegów moich, którzy na wystawę przyrodniczo-lekarską przyjadą obchodzącą, schowałem na zakończenie tego mojego sprawozdania z pobytu u Szczepanika. Jest to wynalazek olbrzymiej doniosłości dla okulistów, a właściwie dla chorych ludzi na cierpienia oka. Badanie głębi oka należy do najżmudniejszych, a przecież największą ma doniosłość dla rozpoznania najcięższych chorób tego samego organu. Módz powiedzieć otoczeniu chorego z całą pewnością, że w przypadku danym jest np. zanik nerwu wzrokowego, czyli wykluczyć z całą pewnością wyleczenia, albo przeciwnie, na pewne módz orzec, że chory jeszcze wzrok odzyska, — co dotychczas niestety niezawsze było pewnikiem, ale tylko prawdopodobnem, — jest tak dużo, że całe wynalezienie teleelektroskopu, bądź co bądź luksusowego przyrządu, przytem blednie.

Szczepanik rzecz tę stanowczo rozwikłał, rozstrzygnął śmiałym swoim umysłem i szczęśliwym się czuję, że przyrząd ten na wystawę przyrodników lekarską mi ofiarował. Jestto aparat, zapomocą którego można z największą dokładnością sfotografować głębie oka!! Polega on, jak wszystkie wielkie pomysły; na rzeczy bardzo prostej, i dlatego tem jest wspaniały. Podzielenie teoretyczne soczewki na dwie imaginacyjne części, z których jedna oświetla, a druga obraz przenosi, rozwiązuje to zagadnienie. Dumni być możemy, jako Polacy, że tego genjalnego wynalazcę do naszej liczymy narodowości, a wszelkie wyjątkowe ustawy przez wrogów imienia polskiego stwarzane, nie potrafią nas zgnębić, bo nas przed zatratą broni geniusz narodu, który sobie obrał siedzibę w mózgach rosnących coraz to nowych polskich pokoleń!

Czy do czasu Wystawy przyrodniczo-lekarskiej, nie wykwitnie jeszcze na polu przez Szczepanika uprawianem, jaki nowy a nieznany kwiat, który owoc ludzkość odżywiający zrodzi, nie można wiedzieć. Można jednak mieć nadzieję, że to nastąpi, pamiętając o tych ciemnych pokojach, do których profanom wstęp wzbroniony pod pozorem nieprzerywania pracy i o słowach Szczepanika, rzuconych przy pożegnaniu, że będzie jeszcze myślał osobno o czemś i dla naszej krakowskiej Wystawy przyrodniczo-lekarskiej.

Dr Michał Śliwiński.

„Hejnał“

W ponurą noc,
W jesienną zawieruchę,
Pędzi mnie dziwna jakaś moc...
Wiatr niesie liście suche.
I z szumem piór i łopotem
W ponurą noc,
W zawieruchę,
Wichrów cherubowie czarni
Lecą szalonym lotem
I jęczą...
Przez miasto idę głuche:
W mroku płomienie latarni
Mrugają światłem złotem
Okolone pawią tęczą...
W puste ulice idę sam,
A za mną cień ruchomy
Biegnie wzdłuż ścian i bram
I czołga się po ziemi
U moich nóg...
Milczące stare domy
Patrzą dołami ocznych jam:
Oknami czarnemi.
O pustych ulic bruk
O szare ściany
Spieszne moje stąpania
Rozbrzmiewają echowo.
Wiatr po niebie przegania
Chmur skłębione bałwany —
I ponad moją głową
Lecą chmurne zwały,
Płyną mgławe męty
I co chwila
Księżyc biały
Slny i wylęknięty
Wysuwa się z chmur i wychyla —
I na niebie srebrnym kręgiem leży.
Pod same obłoki
Szczyt ogromnej wieży,
Strzelisty, wysoki,
Wiankiem iglic się jeży
I błyska złocistą koroną..
Jakąś późną godzinę
Biją, biją zegary:
Spiżowy brzęk
Dzwoni w dal nieskończoną,
Leci w niebiosa sine.
Z wieży ogromnej, starej
Ryk trąby mosiężnej wylata
W tym ryku brzmi smutek i lęk
I rozpacz, co łkaniem się żali
I ból i strach:
Gdzieś, przez niebo obszary
Na cztery strony świata
Dźwięczą lamenty trąb
I lecą dalej — dalej
Nad murów i dachów zrąb...
W otchłaniach nocy szarej
Głos trąb mosiężnych mdleje
Jakgdyby topniał we łzach
Zapada jakby w bezdenną głąb
I kona...
W księżycu lśni korona
I lśni kościoła dach...

Łucjan Rydel.

ZA RAJEM.

Kiedy Adam wyszedł z Raju, otwarł się przed nim świat, straszliwy świat.

Lasy wyciągały ku niemu swe straszliwe czarne paszcze, zionęły ku niemu grozą, z konarów swoich, z gęstwy i tumanu konarów wyrzucały ku niemu wicher, który go porwać chciał i wchłonąć w las, jak odpływ morza porwać chce i zatopić dziecko, co się nad wodą zbłąkało.

Rzeki ryczały ku niemu odmętem, ciskając się, jak olbrzymie podrażnione węże, w nieprzewidzianych łukach i skrętach, ogarniając ryczącem swojem cielskiem niedostąpione, suche przedtem przestrzenie, zalewając łąki i zagaje, a złe oczy gwiazd odbite w wodzie, ścigały go, gdy stąpał nocami po ziemi samotny, jak klęska.

Morze, podobne do lwa, który przyległ przed skokiem, mruczało złowrogo, lub podobne do szczęk potwornych krokodylów, połykało góry nabrzeżne i wyspy, grożąc ziemi całej śmiercią i zgubą.

Straszliwe orkany uderzały o ściany skalne, aby spaść stamtąd wrące, jak pożar, dławiąc i niszcząc wszystko, wydzierając boki ziemi zarosłe, wyrywając jeziora z głębin, jak sęp szponem jeleniowi oko wyrywa.

Słońce zabijało upałem, lub przychodziły noce zimne, kiedy trup-księżyc, jak upiór krążył nad światem, warząc mrozem zioła i kwiaty i jagody pożywne, wśród chmur, jak upiór wśród ptastwa śmierci, albo na pustem, zlodowaciałem niebie, jak śmierć, której twarz kościaną chłód szronem wysrebrzył.

Żywioły walczyły z sobą; jak stado wilków walczy ze stadem sępów o rannego konia, tak wichry, morza, pożogi, trzęsienia ziemi i wulkany, powodzie i burze walczyły z sobą o ziemię, na którą wstąpił Adam z Raju wygnany, która była jego dziedzictwem.

Wśród tej walki był on jak krzew jałowcu górskiego na uboczy, kiedy się lawina kamienna z lawiną śniegu i lodu nad nim spotka i zetrze.

Jagody truły, kwiaty odejmowały zmysły wonią, wśród trawy miękkiej i do snu proszącej, czołgały się nieprzeliczone jadowite węże i płazy, pod drzewem czychał lew, na drzewie lampart i przerażający, zaciekły pawian o krzyku szatańskim: orły wydzierały zdobycz z rąk, a nocami krążyły w koło hyeny, wyjąc i jęcząc, jak duchy zagładę wróżące.

Ziemia krwawiła ręce, rozdzierała skórę, wyłamywała kości. Walka z nią była podobna do walki nasienia jodłowego, które wiatr rzucił na granit. Pierwsza krew i pierwszy pot wsiąkły w ziemię, zmieszane i hojne.

Zaś Bóg skrył się w niebiosach.

I Adam czuł się nieszczęśliwym i ugiął się pod brzemieniem nieszczęścia.

Napróżno przychodziła ku niemu Ewa, włosami miękkiemi ocierać mu czoło z potu, wodą kryniczną obmywać ręce z krwi: napróżno miękkie jej ciało tuliło się ku niemu, ogrzewało go w zimne noce, zasłaniało sobą od spieki w dni upalne. Napróżno czuł się kochanym — i Adam poznał, że miłość nie wystarcza, i że dla rzeczy niewystarczającej wyrzekł się statku życia.

I uginał się pod brzemieniem nieszczęścia.

Ogarnęło go zniechęcenie i nieokiełzana tęsknota za Rajem, kiedy był sam, każdemu ziołu, każdej roślinie pokrewny, każdemu zwierzęciu blizki, kędy las był mu, jak brat, woda, jak matka, gdzie gwiazdy schodziły mu na oczy, jak ćmy dźwięczne i miłe, gdzie słońce kołysało go promieniami swemi, jak lekki wiatr kołysze palmy o długich liściach.

Tęsknota go zdjęła za tym krajem, gdzie nic nie przewidywał i nic nie pamiętał, gdzie błąkał się wśród zieleni i stubarwnych, kolorowych kwiatów, jak się dźwięk głosu błąka wśród kęp słonecznych i wzgórz bujną trawą i mchem miękkim porosłych. Tęsknił za tym krajem, gdzie był sam z Życiem, ze spokojem i ciszą Życia, na które tchnął Bóg. W uszach poczęły mu szemrać strumienie jasne i pogodne, w oczach poczęły mu szklić się błękitne, świetliste jeziora, dłonie jego poczęły czuć ciepły puch i gładką sierć życzliwych zwierząt — tęsknił ku tej bezmyśli, ku temu zaczarowaniu ducha, ku temu snowi i omdleniu w piękności, które utracił, których się wyrzekł dla rzeczy, co niebyła wystarczającą. Tęsknota poczęła go dusić i gryźć — pragnął Raju, pragnął Boga nad sobą... Ręce omdlały mu w pracy, duch w nim zamierał z tęsknoty upadał pod ciężarem smutku.

A Szatan się śmiał.

On to bowiem, widząc, że Adam cierpi, ale walczy, krwią ocieka, ale idzie, schnie z pragnienia, ale dąży; obudził w nim największego wroga człowieka: smutek.

Smutek, który jest jak ciężki wąż, co się wczołguje na młodą latorośl i łamie gałęzie, gdzie zwiśnie, i całe drzewo pochyla ku ziemi, aż skruszy.

Skusiwszy Adama żądzą, gdy sprawił, że Bóg wygnał go z Raju i na trud skazał, zdumiał się, albowiem Adam, choć podobny do krzu jałowca na uboczy górskiej, gdy się nad nim zetrze lawina głazów i lawina śniegów zamarzłych, nie uląkł się, ale walczył: krew i pot zeń ciekły, jednak wydzierał ziemi strawę, pętał wichry namiotem z gałęzi, kiełzał wezbrane potoki kamiennym wałem, tępił mróz wełną złupioną z owcy, ból i mękę koił miękkiem ciałem Ewy. Szatan więc zbudził w nim smutną myśl.

Adam począł tęsknić, począł rozpamiętywać, począł się dręczyć wewnętrznym wyrzutem własnej krzywdy, poczuł gorycz zawodu i jad rozczarowania, usłyszał nad głową, jak szum skrzydeł orlich nad głową koźlęcia, najstraszliwsze z pytań: po co? dla czego?

I jął się chwiać.

Jak człowiek, który zabłądzi w skałach, po pierwszych wysiłkach, po pierwszem mrocznem odurzeniu świadomości zła, w które popadł, uczuwa lęk: tak Adam uczuł czczość, jałowość, tajń bezlitosuą a okrutną życia. Owiała go i chwyciła go w ramiona pustka, pustka zabijająca, jak powietrze z bagien nadrzecznych, mordercza, jak stado bawołów pędzące na oślep. Adam począł p r a g n ą ć, począł c h c i e ć, dyszeć z a c z e m ś, jak przywalony gorącą ziemią wulkanu za powietrzem. Praca dla utrzymania życia wydała mu się musem, konieczną, ale przeklętą męką: trynmf zwycięztwa nad dzikiem zwierzęciem, albo dzikszym żywiołem, wydał mu się godnym zwycięztwa tygrysa nad lwem, albo łosia, który jezioro wzburzone przepływa, ale niegodnym jego, człowieka: poczucie siły, męztwa, rozumu, krwią i potem wywalczanego władztwa na ziemi, wydało mu się nicością; miłość Ewy poznał, jako upojenie chwilowe, ale nie jako cel życia i statek życia — — i smutek jego stał się tak potężnym, jak śmierć.

Upadał... Szatan zwyciężał..

Wtem zdało się Adamowi, iż nad głową jego wyrzekł ktoś w górze głosem cichym, ale donośnym i rozległym: „Królestwo twoje nie jest z tego świata“.

Kaz. Tetmajer.

W zimowe południe.

(Fragment z powieści).

„Una salus victis nullam sperare salutem!...“
(Vergilius).

Stary rynek krakowski. Śnieg na nim leży, pierwszy, czysty, nie zwalała go żadna odwilż, ni kurze miejskie. Słońce świeci iskrzące, na białej powierzchni tylko szyny tramwajowe rysują się czterema czarnymi wężami, stopionymi działaniem jakiegoś tramwajowego proszku. Na linji A-B tłum ludzi: tych, co już byli w kościele, tych, co dopiero doń pójdą, lub tych, co nie chodzą doń wcale.

Bo jest niedziela.

Tłum snuje się: każdy przychodzi dlatego, że tn tłum, nie myśląc, że on go tworzy.

Tylko p. Stanisław, który ma w duszy wiele pojęć głębszych, zastanawiał się nad tym paradoksem i właśnie dlatego przyszedł, by przypatrywać się przedmiotowo, jako istota zewnątrz stojąca.

Dlatego też idzie wzdłuż murów kamienic, wszystkim usuwając się z drogi, jako człowiek spokojny tym spokojem, który daje tylko prawdziwa kultura zachodnia tkliwym jednostkom należącym do dalej na Wschód zamieszkałych społeczeństw.

Patrzy się w ziemię, głowę ma trochę schyloną, choć pierś wyprostował dumnie.

Nie patrzy na ludzi, którzy go mijają, doznaje jednak bardzo zupełnych wrażeń otaczającego go tłumu i tej przyrody, która, acz smutna, słowiańska, czułej duszy zrozumieć się daje i odczuć swoje piękności pozwala.

Pan Stanisław jest człowiekiem prawdziwie inteligentnym. Uznają to wszyscy w Krakowie. Nie tylko przyjaciele, których miał bardzo wielu, umiejąc sobie zjednywać ludzi gładkością obejścia, starannością stroju, łagodnością w doborze wyrazów i nieprzesadzoną nigdy, a szczerą serdecznością, ale nawet obojętni mu, lub nawet nie przychylni mówią o nim, dla bezstronności lub z przekonania, że jest bądź co bądź większą inteligencją i rzadkim w Krakowie okazem prawdziwie cywilizowanego człowieka.

Pan Stanisław jednak w głębi duszy nie przecenia wartości tych zdań ludzi, których zna, lub nie zna, wiedząc, że jednych suggestjonuje sympatją, którą w nich wzbudza, drudzy zaś, mając dlań obojętność lub nawet nieprzyjaźń, nie starają się, lub nie chcą bliżej go poznać, by nie potrzebować z przekonania uznać jego wyższości.

I w tem właśnie głębokiem rozpoznaniu natury ludzkiej leży właściwa wyższość pana Stanisława.

Ma on także tę wyższość, że szanuje zdania ludzi poważnych, którzy szczerą pracą dla dobra kraju dobili się znacznych stanowisk, a którzy z wiekiem, popieraui ogólnem uznaniem dobrze myślących elementów, nabrali byli doświadczenia i głębokich poglądów na sprawy krajowe, kwestja ekonomiczna, na literaturę, muzykę i sztukę plastyczną.

Z tymi nieraz różnił się w poglądach, liberalniejszy od konserwatystów, umiarkowańszy od liberałów, wyrozumiały jednak i pobłażliwy dla „czerwonych“, którym nie odmawiał zdolności, dobrej wiary i dobrej woli, ale li tylko braku przetrawienia politycznego. Z wszystkimi jednak zachowuje dobre stosunki towarzyskie, nawet ze stronnikami doktora Borbakiewicza, z którymi pijąc w południe kieliszek koniaku u Mauricia, dowcipkuje na temat ich oryginalnego radykalizmu. W przystępie szczerości jednak, gdy z właściwą sobie intuicją spostrzega poczciwość usposobienia swego otoczenia, pozwala sobie na żartobliwe docinki na temat ich przekonań politycznych. A jeżeli daje im do zrozumienia, że zdaniem jego zasady społeczne dra Borbakiewicza nie mogą mieć przystępu do umysłów wyższych, to czyni to z taką wytwornością wyrażeń, lub wrodzoną sobie wielkopańską prostodusznością, że oni chyba ujęci się czuć muszą tą wyraźnie uwydatnioną *arière pensée*, że oni właśnie są „Borbakiewiczami“ *quand même*.

Te wszystkie rzadkie i cenne przymioty umysłu i serca p. Stanisława sprawiają, że cieszy się ogólną sympatją, a pan mecenas i pan dyrektor, pan prezes i ksiądz prałat, pan redaktor i pan radca mówiąc o nim używają zawsze poczciwych przydomków: ten kochany, ten dobry, ten miły i t. d.

Lubi go nawet pan Łapsikiewicz.

Pan Łapsikiewicz, na pierwszem miejscu członek resursy z ulicy Wolskiej, na drugich: prezes stowarzyszenia „Dzielność“, członek rady miejskiej, prezes honorowy towarzystwa podupadłych urzędników prywatnych, członek rady nadzorczej Kasy zaliczkowej dla Powstającego Przemysłu, członek kilku komisji znawców, nieustający sędzia konkursowy dla spraw artystycznych, wreszcie wiceprezydent towarzystwa weteranów z ostatnich wojen polskich i austrjackich.

Mijają się właśnie. Pan Łapsikiewicz idzie na Mszę do kościoła Panny Marji.

— A pan nie do kościoła? — pyta.

— Nie — odpowiada p. Stanisław — ten wielki Matejko upstrzył mi zanadto tę świątynię; to malowanie rozprasza mi myśli pobożne...

I oko w oko spotyka pana Jaszczura. Starszy to człowiek. Pięćdziesiątkę już mijał. Strój ma zawsze zaniedbany i pozuje na oryginała. Lubi jednak p. Stanisława.

Zatrzymuje go więc, pytaniem:

— A pan, dokąd?...

— *Je flâne*,... choć nie lubię francuskich zwrotów, ale widzi pan, suggestjonuję samego siebie...

— Z pana jest typ doskonały naszego społeczeństwa. Ja pana bardzo lubię jako takiego. Ale potępiam, potępiam. Blagujesz przed sobą samym, że nie blagujesz wobec innych.

A potem nagle zaczął politykować. Była to manja tego starego człowieka. Mówił dużo, a w tem co mówił nie było nigdy poczucia formy; i to właśnie gniewało trochę p. Stanisława.

— Robicie nędzną politykę. To jest kłamstwem, niskiem kłamstwem, że polityka rozsądku jedynie jest rozsądna. Tylko polityką serca, radykalizmem narodowym dochodzi się do rezultatów. Państwo nic wam nie dało oprócz podatków i poczucia przynależności do wielkiego mocarstwa. Co za głupota myśleć, że jesteście w niem czynnikiem decydującym. Wy jesteście jedynie narzędziem dla czynników decydujących.

Pan Stanisław uśmiechnął się wyrozumiale. Słyszał był nieraz podobne wywody. Ale, gdy pan Jaszczur, patrzał nań badawczo, niby odeń odpowiedzi żądając, rzekł:

— Najprzód ja z zasady nie politykuję.

— Co to jest: „nie politykuję?“ — odparł tamten — rewolucja, moje dzieci, rewolucja...

I byłby mówił dalej, ale wtem nagle z nieba, niespodzianie zachmurzonego, począł padać śnieg. Spadał cicho, spokojnie, w wielkich, płaskich płatkach, osiadał na futrach i kapeluszach przechodniów, łagodny, miły, bezwładny...

Pan Stanisław patrzał na ten śnieg, nim tylko zajęty. A śnieg padał wszędzie, obszerny rynek pokrył, jakby woalem, nakrapianym w białe muszki puszyste.

Przekupnie ustawili na obszernej płaszczyźnie las choinek, bo był już tylko tydzień do świąt Bożego Narodzenia. A przez tę mglistą zasłonę śnieżną, nad szczyty zielonych choinek sterczał wysoko pomnik wieszcza, otulony w płaszcz spiżowy.

Pan Stanisław, milcząc, zwrócił uwagę pana Jaszczura na wspaniałą prostotę tego obrazu.

Teraz patrzali obaj.

Śnieg tłumił odgłos kroków snującego się tłumu.

Białe płatki padały zwolna, pokrywając matową warstwą iskrzące się pierwej w mrozie pokłady skrzypiącego śniegu; tłum szedł, a oni stali obaj w milczeniu, pełni różnorakich myśli, posypani białym puchem, a śnieg ten, budząc uczucia w sercu, ubezdniał im myśli...

— Ta cała przyszłość nasza taka iest śnieżysta... — rzekł po chwili pan Stanisław.

Tamten nie odpowiadał nic jeszcze.

Z wieży wysokiej, co nad nimi stała, olbrzymia, strzelista, wysmukła, szła piosenka trąbki strażackiej odwieczna, pełna liryki, wiosenna, dziwna w tem zimnie i śniegu. Przedzierała się przez płatki śniegowe, śpiewała sama z wysoka, jasna, dźwięczna natchnieniem.

A śnieg padał ciągle.

Po chwili piosenka ustała.

— Pan idzie na mszę? — zapytał pan Stanisław.

Stary milczał.

Oczy miał zwrócone na pomnik z granitów i spiżu i na las zielony choinek, co okalały jego mroźne stopy. Zdawało się, że u stóp jego i w tym śniegu ta ich zieloność kwitła życiem...

Wtem ze śnieżnych wysokości odezwał się znów głos trąbki.

— Piosnka zmartwychwstania — mruknął pan Jaszczur.

Zaczem ruszył ku kościołowi...

Zygmunt Morawski.

GAWĘDA NA CZASIE.

— Straszne to rzeczy, — rzekł do mnie przyjaciel, równie podsiwiały, jak i ja. Młodzież marnieje, nicestwieje na duchu.

— Cóż cię tak przeraziło? — zapytałem.

— I ty się pytasz?! Człowieku, czytaj, co się drukuje w pisemkach, przez młodzież wydawanych. Jakby na urągowisko dano tytuł „Młodość“ pismu, które krzewi dobrowolną abdykację ze wszystkiego, co jest istotą, znamieniem, lub bodaj okrasą młodości.

— E, e, e. —

— Ależ to nie e, e, e — to przeraża. Łamańce stylistyczne, marazm moralny, bałamuctwa pretensjonalne, blaga, poza, czczość myśli, jakieś zaczadzenie zdrowego sensu.

— Nie bierz tego do serca; to choroba, dżuma, co przejdzie i znowu świat wyzdrowieje.

— Ba! a ileż ofiar ta dżuma pochłonie!

— To bardzo uprzejma, ta dżuma literacka. Nie zabije nikogo o zdrowym mózgu. Dotknięty nią młodzieniaszek, będzie śmiał się za lat kilka z tych dziwolągów, które dziś pisuje, jak my śmialiśmy się z naszych młodzieńczych rozpraw filozoficznych na tle Büchnera, Molechota, Darwina. Chore mózgi przepadną, bo te przepadają zawsze, w każdej generacji, śród wszelkich ruchów, czy zastojów umysłowych. Te chore mózgi mają chorobę w sobie, nie po za sobą, nie koło siebie; one zginąć muszą, bez względu na to, co je otacza, co na nie działa.

— Za naszych czasów szumiało w głowach młodzieży, mąciło się jej w oczach, to prawda; ale nikomu wtedy nie mąciło się w sumieniu. Głowy się zawracały, serca były zdrowe. Młodzież popełniała wybryki, ale starsi mieli rozum i uczciwość. Dziś anarchja polityczna, społeczna, etyczna, literacka i artystyczna, od dołu do góry. Z parlamentów porobiono karczmy, społeczeństwo chcą reformować oszuści i wyzyskiwacze, złodziei ogłaszają dzienniki bohaterami, lekkomyślników wiodą do panteonu narodowego, w literaturze popłaca pornografja, pijaństwo fizyczne i moralne, sztuka staje się coraz brutalniejszą w formie i pomyśle; zdeptane, sponiewierane wszelkie etyczne i estetyczne prawdy.

— I to cię przeraża bardziej, niż potrzeba. To także dżuma, co obali wątłe organizmy, a na ich mogiłach będzie pole na posiew ziarna, co ze zdrowej padnie ręki. Słabi zginą, dla zdrowych więcej miejsca zostanie. *Nihil novi sub sole.* Wiek nasz przypomina czasy średniowieczne. W epoce ojców kościoła brzmiał hymn Ambrożego; świat rozmodlony tonął duchem w ideale wiary, miał krzyż Chrystusa w piersi, w

głowie, żył nim i dla niego. Czasy naszych wieszczów mesjanicznych, czasy ks. Piotra, Przedświtu, Psalmów przyszłości, Proroctwa kapłana polskiego, podobne do owej epoki. Tam krzyż Chrystusa, tu krzyż Polski; tam ideał Boga, tu ideał ojczyzny.

Nastały czasy rycerskie. Świat dobył miecza na usługi krzyża; mieczowi przyśpiewywała pieśń trubadura, barda, skalda, minesengera. U nas dobyto z serc i z tradycyj dziejowych hasła reform społecznych. Stanęli do pracy tego pokroju rycerze idei, co pochowany dopiero ś. p. Franciszek Smolka, a dźwięczała im pieśń Ujejskiego, Syrokomli, Asnyka.

Aż z owego rycerstwa wytworzyły się bandy raubritterów, zgraje wyuzdańców. Miejsce cnoty zajęło wszeteczeństwo; zamiast szczęku bojowego oręża, brzęczały puchary; rozbój, pijaństwo, wyuzdanie, to nowe ideały znicestwionego rycerstwa. Zamiast Godfrydów, miałeś zbójów.

Za dni naszych zmarniała demokracja, jak rycerstwo średniowieczne. Zamiast Smolków, masz Stapińskich, Daszyńskich i tym podobnych wyuzdańców społecznych i politycznych. Szlachetne, wzniosłe, na prawie Bożem oparte ideały szlachetnej i rozumnej demokracji, okupione krwią męczenników politycznych, więzieniem ich, szubienicą, zdeptały dzisiejsze raubrittery, pijane szałem pychy, zawiści, obłudy, wstrętne przez znicestwienie w sobie honoru i sumienia. Raubrittery wyznawały prawo rozboju; ich epigony wyznają bezkarność kłamstwa, obłudy, kradzieży.

W usługi raubritterów poszły pajace, błazny, trefnisie plugawe — w usługi dzisiejszych rabusiów idą „nagie dusze“. Trefnisie bawili zbójów plugawą, sprośną piosenką, dziś „nagie dusze“ nadają się do ideału wszeteczeństwa, obłudy, krzewią rozbój moralny i zezwierzęcenie.

Jedno odmienne. Błaznów średniowiecznych nie stawiał żaden uczony na piedestalu, o błaznach dzisiejszych ogłasza odczyt: Dr Żuławski! Ale za to w tem analogja, że błazny układały hymny na cześć prostytutek, co też czynią i dzisiaj.

Straszne to było, prawda — ale utonęło w fali wieków, świat obmył się z kału, zajaśniało nad nim słońce humanizmu i klasycyzmu, a w promieniach tego słońca jaśniał nad światem krzyż Chrystusa, i znowu ludzkość była zdrowa.

Nie wątp bracie! Wnet nadejdzie czas, że epigony Pankracego zawołają: „Galilee vicisti!!“

Optymista.

Z KRAJU.

Lwów, d. 22 grudnia.

Jeszcze nie zabłysła!... — Straszak. — Charakterystyczna cecha. — Co mieliśmy w 1899 r. — „Dzień dobry“ i „Dobranoc“. — Co jest nieprawdą, a co nią jest? — Do czego jest Lwów podobny? — Autentyczna anegdota. — Pesymiści. — Zaraza. — Prostracja. — Pewne znaki. — Co powiedział człowiek bez godności. — Konkurs na ludzi.

Gdy to piszę, jeszcze wprawdzie nade Lwowem nie zabłysła „gwiazdka“, co ludom chrześcijańskim przynosi ukojenie w strapieniach i twardych warunkach życia — nie zabłysła, ale zbliża się i płynie na firmamencie naszych trosk, nadziei i uchwytnych, lub nieuchwytnych pragnień...

Może tam gdzieindziej — może w Krakowie i w Warszawie zaświeci ta „gwiazdka“, zamigoce jasno, ale u nas, we Lwowie, z pewnością przez ciemne chmury spoglądać będzie na nasze miasto, spowite w całuny, a może nawet w zarzuty najrozmaitszych upakarzań i bujnych, choć niezdrowych objawów gorączki życia bez tych ideałów, które przecież sięgają dalej, aniżeli miljony, kurs w krajach mające i żądza posiadania ich, choćby się człowiek oparł plecami o bramy... kryminału...

Przeżyliśmy we Lwowie taki straszny rok — ten 1899, że możnaby go w ramki oprawić i pokazywać potomnym na straszaka. Zdaje mi się, że Feuerbach głosił teorję, czy zasadę „odstraszania ludzi od złego“ — jeśli taka teorja okazała się etycznie dobrą i skuteczną, to rok 1899 powinien być dla nas straszakiem...

Czy będzie? — ja wątpię. Dlaczego wątpię? — dlatego, że wątpię. Nieuzasadniona wątpliwość jest gorsza od wszelkiej wątpliwości.....

Charakterystyczną cechą, dominującą wszędzie, ogarniającą wszystkich, unoszącą się nad wszystkiem, jest u nas właśnie, a zawsze myślę o Lwowie, ta wątpliwość bez argumentów i usuwająca się umyślnie od dyskusji... Posunięte to jest tak daleko, że gdy znajomy wchodzi do mieszkania i mówi: „dzień dobry“ — pomimo woli spoglądasz w okno, czy czasem deszcz, albo śnieg nie pada... No, i najczęściej pada...

Ale przecież w deszcz, w śnieg, w plutę, może być „dzień dobry“ — może, ale nie jest, bo nie idzie ani o deszcz, ani o śnieg, ani o plutę, tylko o to, że ludzie w promieniach ciepłych słońca także sobie potrafią wytworzyć piekło utrapień, że niczem wszelakie siły atmosferyczne...

Piekło mieliśmy we Lwowie w tym roku 1899 i miłościwe promienie „gwiazdki“, zapewne przy libacjach wigilijnych trochę czoła wypogodzą, ale, żeby tam, w sumieniach, było czysto, jasno i pogodnie, tego utrzymywać nie będzie najbardziej zacietrzewiony optymista lwowski, który pałaszuje kiełbasę na widelcu i jest przekonany, że mu się trzepocze upieczona kuropatwa...

Przygnębieni jesteśmy. I ci, którym dobrze, a mogłoby być lepiej, i ci, którym ani źle, ani dobrze, a mogłoby być jako tako — wszyscy przewracają się z boku na bok i wyczekują „dnia dobrego...“

A każdy dzień przynosi nam zachód nadziei i ponuro powiada: „dobra noc“, choć ta noc jeszcze jest gorsza, niż dzień, który wcale dobrym nie był...

Bo ostatecznie nie prawdą jest: „jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz...“ Może być posłanie twarde i nierówne, a jak spokój zamknie ci powieki do snu, to zachrapiesz, aż się szyby zatrzęsą i chociaż przebudziwszy się, znajdziesz głowę tam, gdzie powinny być nogi — rzeźwość cię owionie, zdrowie cię ogarnie, jakaś siła cię wykrzepi i djabła porwałbyś za rogi, a „kudły niedźwiedzie podesłał pod nogi...“

Gdzie nam teraz we Lwowie do takiego snu!... Nie już na puchu, ale na listku róży, złożonym na dwoje, źle leżeć...

Jakiś mędrzec — szkoda, że nie wiem, jak się nazywa, powiedział: „jeśli prawdę mam powiedzieć, lepiej siedzieć, niźli stać — lepiej leżeć, niźli siedzieć — lepiej umrzeć, niźli spać...“ A my we Lwowie usnęliśmy na dobre. Może to nawet nie sen, tylko martwota — tem gorzej!...

Lwów podobny jest teraz do niedźwiedzia w zimie. Ssie własną łapę i śpi. Niedźwiedź budzi się na wiosnę — kiedy zaś dla Lwowa przyjdzie wiosna, tego żaden domorosły Falb obliczyć nie jest w stanie...

Naturalnie, że musi przyjść ta wiosna, ale, ale tymczasem rosa wyje oczy, a teraz mogłyby powiedzieć nam kroniki ekonomiczne, a właściwie ekonomiści „narodowi“, co piszą szerokie artykuły o zdrowym kredycie i zastawiają zegarki złote i spinki brylantowe u żydów... Bo u nas wogóle, a już we wschodniej Galicji w szczególe, co innego się mówi, a co innego się robi.

Od Lwowa aż pod Sokal, nie prostą, wystrzeloną linją, lecz na całych obszarach w lewo i w prawo, powietrze napełnione jest skargami na żydów, szczególniej wśród szlachty ziemiańskiej — no i nigdzie, jak właśnie w tej części Galicji, szlachta nie wydzierżawia tylu majątków żydom!... Znam osobiście pewnego młodego ziemianina z pięknem nazwiskiem, nawet budzącem w każdem sercu polskiem uczucie mimowolnej czci dla człowieka, co już spoczął w grobie i nosił to samo nazwisko — znam takiego młodego szlachcica z pod Sokala — sympatyczny, rycerski — całego można przyłożyć do rany...

— Wie pan co? trzebaby się już raz wyzwolić od ekonomicznej zawisłości od tych żydów — powiada do mnie i dalej na ten temat!...

— Nie ma, panie, na to innej rady: pracować, oszczędzać i kochać ten kawał ziemi, co się na nim siedzi i biedzi...

— Ano ma się rozumieć!...

Upłynęło ze trzy tygodnie — spotykamy się.

— Słyszałem, że się pan żeni — mówię.

— Żenię się.

— Bogato?...

— Tak, niby...

— No, to jak jedno połączy się z drugiem, będzie piękna fortuna.

— Tak, ale widzi pan, majątek mojej przyszłej żony w innej stronie, daleko od mojego, więc swój własny wypuściłem w dzierżawę...

— Komu?

— Żydowi...

— A pamiętasz pan, cośmy przed kilku tygodniami mówili?...

— E, to, co innego!...

Rzeczywiście, pomyślałem sobie: co innego żyć, a co innego gadać, co innego frazesy, a co innego czyny i niestety, co innego kontusz, a co innego bijące pod nim serce...

Takich przykładów jest u nas sporo, a ten, który przytaczam — niestety, autentyczny..... Toż nie dziw, że roi się u nas od pesymistów, aż czarno... Mamy ich, co raz więcej w literaturze, w sztuce, a co gorsza tłuką się w życiu ci zwykli, codzienni, których czarne myśli nieoświetlone są promieniami talentu, lecz czołgają się na czworakach wśród prostych, poczciwych serc i głów: pierwsze podgryzają na zgorzknienie, w drugich kotłują na zamęt... A z tego wszystkiego tworzą się gromady bezkrytyczne, bez barw społecznych i politycznych, patrzące z przekleństwem w koryto, gdy jest puste, a z uśmiechem lubieżnego zadowolenia, gdy napełnione... Może być bardzo, i zapewne że tak jest, iż po takich gwałtownych wstrząśnieniach ekonomiczno-finansowych, jakie w ostatnich czasach przebyliśmy, nastał czas prostracji — może to naturalny objaw psychiczny, ale im krócej potrwa taki stan, tem lepiej. Tymczasem, u nas przynajmniej, we Lwowie, wcale się nie zanosi na to, aby odrętwienie miało się ku zachodowi. Przeciwnie, są pewne znaki na naszem życiu publicznem, z których odgadywać należy silniejsze ubezwładnienie sumienia i instynktu ogólnego...

Mówi do mnie niedawno jeden z bardzo rozumnych i zacnych ludzi, który jednak nie był nigdy posłem, ani radnym, ani nawet członkiem komisji teatralnej — mówi do mnie:

— To nieprawda, proszę pana, aby nam było brak pieniędzy i dlatego nic nie robimy — nam brak ludzi inicjatywy, ludzi czynu, ludzi charakteru i żelaznej woli — dajno pan ich, a zobaczy pan, ile u nas pieniędzy w kraju i jak wszystkiego w bród... Dopóki takich ludzi nie będziemy mieli na wpływowych stanowiskach, to, panie, same pieniądze nic nie zrobią i będą je z pod nas wybierać Niemcy, dowodząc po gazetach i parlamentach, żeśmy ekonomicznie zbiedzeni...

Tak mi mówił jegomość, który, jak powiadam, ani był posłem, ani radnym, ani nawet członkiem komisji teatralnej — więc oczywiście nie stanowi on autorytetu — zdaje mi się jednak, że to, co mówi Agememnon w „Pięknej Helenie“, gdy otwiera konkurs narodowy, niekoniecznie odnosi się tylko do Grecji — u nas, we Lwowie, przydałby się także konkurs na... ludzi, bo najwięcej mieliśmy w ostatnich czasach... wrzących Achillesów...

Zet.

ZE SWIATA.

Wiedeń, 21 grudnia.

Gawęda dziennikarska: „De omnibus rebus rebus et quibusdam aliis.

Staję na wezwanie redakcji na placówce feljetonistycznej zaledwo otrzepawszy się z kurzu i pyłu parlamentarnego, jako codzienny *habitué* — niestety z obowiązku — „greckiego teatru“ przy *Franzensringu*, który mimo stylowej greczyzny, trafniej dałby się określić przymiotnikiem „chiński“. Mam posłannictwo rozweselić łaskawego czytelnika, odrywając jego myśli chociażby na chwilę od „brzydkiej“ codziennej piosnki politycznej — pieśń tę nazwał tak Goethe, więc nie mój to wynalazek — której refreny dzwonią i szumią mu, jak sądzę, nie zawsze mile w uszach i przenieść jego wyobraźnię na inną dziedzinę, mianowicie życia wiedeńskiego, które z dawien dawna słynie jako wesołe, puste, jowialne. Ja, który z obowiązku nieraz wprowadzam łaskawego czytelnika wiadomościami politycznemi, tak jak one z kolei idą, w zły humor, mojemi telefonogramami z parlamentu nieraz wywołuję chmurę na jego dostojnem czole, mam teraz, będąc przygnębiony, znużony, znudzony i przyzwyczajony do mielenia słomy austrjackich spraw wewnętrznych i parlamentarnych dosiąść pegaza odcinkowego i hasać na nim tak, by popełnione złe i niemiłe, nietylko naprawić, lecz owszem przeciwnie: zły humor i zmarszczki na zasępionem czole przepłoszyć, a natomiast wywołać uczucie zadowolenia i pobudzić do wesołości. Wyznaję, że trudne dla mnie zadanie. Lecz od czegóż jestem... dziennikarzem, który wszystko musi umieć i rozumieć, o wszystkiem pisać, „gryść sercem“, gdy tego trzeba, chociażby własnych braci, być poważnym i uroczystym z zakrojem koturnowym, by zaraz potem właśnie tak, jak mi wypadło, bawić i rozweselać łaskawe czytelnictwo. Co do ostatniego, najwdzięczniejszem polem byłoby wrócić do „chińskiego teatru“ i zebrać pokłosie, gdyż życie wiedeńskie jak ono rzeczywiście płynie obecnie, zmieniło się bardzo na swą niekorzyść, straciwszy już dawno tradycyjną zechę jowialności. Wśród trzaskających mrozów, ubóstwo i nędza szerokich warstw ludności występują wypuklej na widowni życia wielkomiejskiego i bynajmniej nie nastrajają do wesołości i radości, do psot i zabaw. Ale prawda te szerokie warstwy ludności to — *misera contribuens plebs*, a na powierzchni życia pluszcze się zwykle dostatnio i rozkosznie „wierzchnie dziesięć tysięcy“, nadające życiu ton i znamię wedle spostrzeżeń tych, którzy patrzą tylko po wierzchu i nie posiadają daru zagłębienia wzroku.

Trudno pisać wesoło z życia wiedeńskiego, skoro ono niemal we wszystkich kierunkach smutny przedstawia widok, w czem większa część winy także niepoczesnych stosunków politycznych. Dawniejszy Wiedeńczyk mało się troszczył o politykę, a żył jak tylko szło, przyjemnie, goniąc jak dziecko za zabawami. W gospodzie, gdy siedział przy piwie, robił dowcipy, śpiewał, rozprawiał jowialnie z każdym, nie bacząc na to, czy to „brat niemiecki“ lub *böhm*, albo *madjarember*. Było mu to wszystko jedno. Nienawiść narodowa obcą była jego sercu. Dla każdego był grzeczny, uprzejmy, przyjacielski, otwarty, zażyły, a dlatego każdy obcy czuł się w Wiedniu jak w domu i chętnie tu bawił.

A dziś? Prawie nie poznać Wiednia. Puszczyki narodowo-niemieccy przeobrazili albo raczej przewrócili do góry nogami wszystko i tradycyjną jowialność i gościnność i wyrozumiałość i tolerancję, a wskutek tego, gdzie spojrzeć, same nieprzyjacielskie obozy, przeszywające wejrzenia przeciwników politycznych i narodowych. Pan Sarwa z Krepelku, obywatelski krawiec damski, słynny na całem Sechshaus, który od lat dwudziestu zasiada przy stole honoracjorów u Wimbergera, zdołał utrzymać się przy tym stole, nadzwyczajnem wysileniem swego sprytu. Piszę się teraz: Kschepehlcka i co wieczora zapewnia najuroczyściej, że co do „Dajcznacjonal“ przewyższa jeszcze „Wilka“... przepraszam „Wulfa“. Trzeba bowiem wiedzieć, że p. Kschepelcka czeszczy okropnie mówiąc po niemiecku.

Wszystko się zmieniło w Wiedniu, zacząwszy od głowy miasta. Czyż to n. p. ten sam dr Lueger, który dawniej był szczytnym apostołem równouprawnienia w Austrji, a obecnie jako prezydent miasta Wiednia, nie umie na interpelację jednego z niemiecko-narodowych rządców gminnych, żądającą usunięcia czeskiego napisu z czeskiego domu narodowego, odpowiedzieć inaczej, jak, że się postara, by odnośna uchwała rady dzielnicowej jak najprędzej była wykonaną, t. j. jak najprędzej usunąć z „czeskiego domu“ czeski napis. A mówi to prawnik, który dobrze wie, że czyn taki oznacza jaskrawe pogwałcenie obowiązującej ustawy...

Toć przecie nie jest przysłowiowa kapua wiedeńska, ani też niema w tem krzty tradycyjnej wiedeńskiej jowialności.

Natomiast samobójstwa z nędzy na porządku dziennym. Biedny pracujący lud marznie i cierpi głód i wszelkiego rodzaju niedostatek, bo przecież plewą niemiecko narodową zziębłego ogrzać, a głodnego nakarmić nie podobna.

Ale wszystko to smutne, a ja właśnie miałem zamiar przeciwny, mówić o rzeczach, któreby wesoło nastrajały.

Niema rady, trzeba w tym celu koniecznie wrócić do „chińskiego teatru“ czyli jak ktoś dość trafnie powiedział „cyrku parlamentarnego“. Skończonym typem dyrektora cyrku jest Wolff całym swoim wyglądem, ruchami i gestami. Brak mu chyba palonych butów, jelenich spodni i granatowego fraka z złotemi guzikami. Grupa zwierząt około niego: Schönerer — niedźwiedź, Türk — lis, Iro — wieprzak, Fochler — jamnik. A Stojałowski i Stapiński? czyż to nie znakomita komika cyrkowa. Naturalnie, że komicy, to nie koniecznie dobrzy politycy. Często przerachowują się. Stapiński, który niedawno temu żądał „gwarancien“ od hr. Claryego — patrz stenograficzny protokół Izby poselskiej — *„für die Erhaltung der polnischen Nation“* („dla istnienia polskiego narodu“) nie przypuszczał zapewne, że tenże hr. Clary za dwa tygodnie klapnie, gdyż jako dobry patrjota, byłby zapewne istnienia narodu polskiego nie wiązał z tak kruchą podstawą. Wolę stokroć razy Cenę, który ma coś w sobie z powagi niedźwiedzia, bo przynajmniej cicho siedzi. Nawet Menger nastraja wesoło. Gdy jesteśmy przy zwierzęcych przyrównaniach, trzeba stwierdzić, że ten wielce uczony bojownik niemczyzny przypomina, gdy jest w zapale krasomówczym, jadowitą małpę. Pocieszający sprawiał on widok przy rozprawie nad upaństwowieniem cieszyńskiego gimnazjum polskiego, gdy dowodził autochtonię niemiecką na Śląsku i zaczepiwszy o ślązką miejscowość Kobylin, z której Niemcy zrobili obecnie Jungferndorf, dowodził zapewniając słowem honoru, że się rzecz ma przeciwnie, za to Polacy z niemieckich Jungfer względnie Jungferndorf, zrobili kobyła — Kobylin...

A nasi „niewolnicy potrzeb państwowych?“ Jaka między nimi obfitość znakomitych wzorów dla satyry! To także w cyrku cyrkusik salonowy zręcznych jonglerów, gimnastyków, kautschukmanów z dyrektorem, pozującym na wielkiego statystę tragicznego liryzmu, który zawsze posiada w zapasie głos płaczki a nawet łzy, być może, że nawet prawdziwe, jednak w parlamencie nieużywane, chociażby przy tak trudnych porodach jak „nowy kurs“, przy którym p. Rutowski sprawia funkcje „de la sage femme“. Proszę mi darować obcy wyraz tem bardziej, że „akuszerka“ także nieswojska.

A teraz p. dr Horzica z swoją trąbką, przed którą zadrżały mury papierowe *Czasu* jak ongi Jerycho od trąby Jozuego? Prawda, Czesi nie mają zbyt dużo salonowości w sobie, są czasem niegrzeczni i nieokrzesani, naprzykład, choć to nie wypada, przemawiają w Izbie po czesku i głosują przez *ano* i *zde*, ale wygrywają bitwy. Wyszydzona przez *Czas* trąbka p. Horzicy stała się *de facto* potrzebą państwową, gdyż bez obstrukcji czeskiej, za której widomy znak ją uważano, byłyby państwowe potrzeby przepadły w parlamencie z kretesem, a wówczas zamiast przesilenia gabinetowego, byłoby wybuchło groźne przesilenie państwowe. Zapobieżenie temu dla państwa tak skołatanego jak Austrja jest już nie zwyczajną, lecz naglącą potrzebą, zatem trąbka była potrzebą państwową.

Tak salonowymi jak my, Czesi z pewnością nie są. Nasza salonowość zaczyna obejmować już nawet w części ludowe warstwy. Oto dowód. Nasi posłowie ludowi, chociaż są przeciwnikami niemieckiego języka państwowego i chociaż o języku niemieckim nie o wiele mają więcej wyobrażenia jak o chińskim, przecież dla konwenansu kaleczą wszystko niemczyzną — pożal się Boże, jaką! — pomimo, że oni właśnie powołani są manifestować równouprawnienie języka polskiego w parlamencie, zatem powinni i przemawiać po polsku, jak to robią Czesi i wnosić interpelacje w polskim języku, a już co najmniej głosować przez „tak“ i „nie“, a nie przez „ja“ i „najn“ albo „nein“ (zamiast „nein“) jak nieraz słychać...

ławek. W niektórych ich wnioskach i interpelacjach jest niemczyzna tego rodzaju, że na pewno możnaby nią truć szczury niemieckie.

Czy to nie wesołe? *G. S.*

Paryż 20 grudnia.

Pomnik d'Alphanda. — Zima w Paryżu. — Ofiary zimna. — Nowa sztuka Rostanda. — Obsada ról. — Sznur samobójcy.

Paryż z dniem każdym nabiera nowego wdzięku. Choć i tak już nie równie dziś strojniejsza od wielu miast Europy, wesoła stolica Francuzów nie gardzi drobnym nawet klejnotem, który już to dłoń artysty, już też spracowane dłonie lub czego tłumu wznoszą tu od czasu do czasu pośród barwnej panoramy ulic, pełnych życia, bogatych w pomniki placów i bulwarów zacisznych.

Przedwczoraj przybył laskowi bulońskiemu nowy pomnik. Jest to statua d'Alphanda dłuta sławnego dziś Dalou. Nowemu pomnikowi przyklaśnie radośnie całe miasto, gdyż nie ma Francuza, któryby nie chował wdzięcznej pamięci dla imienia wielkiego niegdyś inżyniera, przywiązanego całą duszą do ojczyzny i jej pięknej stolicy.

W Paryżu niezwykle ostra tegoroczna zima daje się już dobrze we znaki nieprzywykłej do mrozów ludności.

Sekwana płynie dużą krą, która miejscami gromadzi się i tamuje ruch na rzece. Przedsiębiorcy żeglugi oddają się rozpaczy, zaś młodzież paryska cieszy się wesołą nadzieją bliskich zabaw łyżwowych na Sekwanie.

Tymczasem z nadejściem mrozów urosła niezmiernie lista nieszczęśliwych ofiar zimowych miesięcy, których setkami co roku zapisują na przedmieściach Paryża. Wielu ubogich, którym zimno odbiera siły do pracy, a niekiedy nawet odporność życiową, ginie w tej właśnie dla wszelkiej nędzy najstraszniejszej porze.

Wczoraj rano ulicą Monge wlókł się obok ciężko naładowanego wozu, ubogi jakiś wyrobnik. Biedaczysko nagle padł na ziemię zziębnięty i bezsilny. Za nim zdołano mu przybiedz z pomocą, wóz, pod którego koła rzucił go nagły atak sercowy, zgruchotał mu piersi. Gdy podniesiono z ziemi jego skostniałe ciało, nieszczęśliwy już nie żył.

O podobnych ofiarach nie lubi słuchać wesoły świat paryski, świat zabaw i swawoli, to też najczęściej głucho o tych nieszczęśliwych, którzy giną z zimna, podczas gdy sezonowe życie stolicy wre w całej pełni na bulwarach, pod światłem kinkietów, lub w hałaśliwych lokalach, skąd daleko nieraz roztrzmiewają wśród ulic dźwięki wesołej muzyki, lub wesolszej jeszcze pieśni kobiecej.

W teatrach również głośno. Przygotowują się wielkie reprezentacje sezonowe. Rostand odczytał tymi dniami członkom trupy Sary Bernard swój gotowy już dramat najnowszy: „L'Aiglon“. Lektura miała wywrzeć na słuchaczach wstrząsające wrażenie. Artyści wylewali łzy ze wzruszenia, a boska Sara, której autor „Orlęcia“ powierza interpretację roli księcia Reichstadtu, wykrzyknęła w natchnieniu: „Boże mój! Jakżeż jestem szczęśliwa, że będę mogła odegrać tę rolę!“

Inne role dramatu nie zostały jeszcze rozdzielone, prócz partyj Marji Ludwiki i księcia Metternicha, z których pierwszą odtworzy Marja Legault, drugą zaś prawdopodobnie Colonette.

Jak nadto opowiadają, zamierza p. Edmund Rostand powierzyć oryginalną i wysoce dramatycznie pomyślaną rolę pewnego starego żołnierza, Coquelinowi. Wątpią wszelako, czy Coquelin będzie mógł wogóle wówczas rozporządzać dowolnie swoją osobą, a tem samem przyjąć udział w odegraniu „Orlęcia“.

Niezwykle humorystyczna awantura wydarzyła się niedawno na jednym z komisarjatów policyji paryskiej. Komisarza policji zawezwano do domu, zamieszkanego przez zbieraczy gałganów, aby skonstatował śmierć samobójczą pewnego wisielca. Urzędnik znalazł zwłoki samobójcy, lecz nigdzie nie było można znaleść powroza, na którym nieszczęśliwy zakończył był żywot swój, prawdopodobnie niewesoły.

Zrozpaczony komisarz, nie mogąc wydostać prośbą, ani perswazjami powroza od współkolegów denata, kazał przywołać do siebie właścicielkę domu i polecił jej zawiadomić lokatorów, aby ten z pośród nich, który powróz powieszonego ukradł, natychmiast zwrócił go władzy, w przeciwnym bowiem razie policja zrewiduje mieszkania wszystkich lokatorów domu i ścigać będzie następnie za występek kradzieży tego, u kogo znajdzie się choćby kawałeczek zaginionego sznura. W odpowiedzi przynieśli komisarzowi lokatorowie mnóstwo najrozmaitszej barwy, grubości i długości sznurów i sznureczków, które razem złączone utworzyłyby conajmniej kilkudziesięcio metrową linę. Mimo całej surowości, jakiej domagała się powaga urzędu, komisarz musiał w głos się roześmiać i dać spokój rewizji.

Niezawodnie sznura, o który mu chodziło, nie było między przyniesionymi. *K. W.*

My płacimy na kahały!

Czytelnicy nasi wiedzą, że według orzeczenia trybunału administracyjnego w Wiedniu, nie wolno jest gminom chrześcijańskich miast wydawać pieniędzy publicznych na cele chrześcijańskie jak n. p. na budowę kościołów, a to z tego powodu, że pewna tych pieniędzy część pochodzi z podatków opłacanych przez ludność żydowską!

Jeżeli to przypominamy, czynimy to dlatego, aby w tem lepszem świetle uwydatnić skromną rewelację, którą niniejszem podajemy do wiadomości naszych czytelników. Rewelacja ta polegać będzie na stwierdzeniu, że f u n d u s z e w y z n a n i o w e ż y d o w s k i e w G a l i c j i s k ł a d a j ą s i ę z p i e n i ę d z y o p ł a c a n y c h p r z e z l u d n o ś ć w f o r m i e p o d a t k u k o n s u m c y j n e g o o d m i ę s a.

Oto co podaje do naszej wiadomości jeden z dobrze i blisko o tym przedmiocie poinformowany czytelnik i przyjaciel naszego dziennika:

„Pobór podatku konsumcyjnego od mięsa w Galicji oddaje władza skarbowa w drodze wydzierżawienia co trzy lata prywatnemu przedsiębiorcy. Ci dzierżawcy, którzy pierwej ten podatek dzierżawili i warunki kontraktowe punktnalnie wykonywali, są oczywiście stale przed innymi uwzględniani. Otóż do publicznej licytacji zgłasza się zawsze kilkunastu żydów, z których tylko jeden, z a w s z e r a b i n, a l b o j e g o z a p r z y s i ę ż o n y p e ł n o m o c n i k jest prawdziwym konkurentem, zaś kilku innych tylko jako pozorni oferenci figurują. Po ustnej licytacji, która zwykle żadnej wartości nie ma, przystępuje komisarz skarbowy, jako referent przedmiotu dzierżawnego, do otwierania nadanych ofert i obliczeń wadjów, a wreszcie do odczytania tychże. Wtedy okazuje się, że oferta rabina, czyli jego pełnomocnika, wynosi o 1—2 złr. nad cenę fiskalną, reszta zaś oferentów podaje oferty albo nieformalnie wystawione, albo niżej fiskalnej ceny obliczone, tak iż uwzględnione być nie mogą. Rabin, lub też jego pełnomocnik, zostaje przeto zawsze dzierżawcą.

Jak każdemu wiadomo, żydzi postępują w tem jak zawsze solidarnie i nie psują interesów dzierżawcom innego powiatu; ponieważ zaś Chrześcijanie nie trudnią się takiemi dzierżawami, po części dlatego, ponieważ nie posiadają uzdolnienia do takich przedsiębiorstw, a po części dlatego, że nie mają pieniędzy na kaucję, a wreszcie i dlatego, że rzeźnictwem, z wyjątkiem kilku większych miast w Galicji, zajmują się przeważnie żydzi. Tak się więc dzieje, że pobór podatku od mięsa w Galicji przez żydowskiego rabina stale uskuteczniany bywa.

Gdybyż przynajmniej ten podatek ściśle w myśl ustawy według taryfy przez rabina był pobierany! Niestety jednak, o przestrzeganiu taryfy mowy tu niema. Od cielęcia niżej roku zamiast 42 ct. pobiera dzierżawca 1·50 do 1·80 ct., od cięższego lub starszego bydlęcia zamiast 2 złr. 52 ct. pobiera dzierżawca 5—7 złr. Wymierza on sobie mianowicie podatek według ciężkości i wartości bydła. Nic go nie obchodzi naprzykład wiek młodego cielęcia, którego charakterystyczną cechą według przepisów mają być mleczne zęby; poborca żydowski uważa za cielęta li tylko ssące, 5—10 dni posiadające, i od tych tylko 60—80 ct. (a więc także ponad przepis) podatku pobiera.

Pobór podatku od mięsa w sposób tak nielegalny, o ile między żydami się odbywa, nie doprowadza do żadnego sporu, a to z tej przyczyny, że żydowski rzeźnik wie dobrze, na jaki cel wyższa kwota podatkowa jest przeznaczona i pobierana bywa. Gdy się zaś wyjątkowo takie zażalenie w oddziale straży skarbowej pojawi, to udaje się dzierżawca natychmiast do rabina, który rzeczony spór na korzyść dzierżawcy (bo własną) załatwia i nigdy do dochodzenia tego nadużycia nie dopuści. W domu rabina znajduje się rejestr na zarżnięte bydło, i ten bywa przez żydowskich strażników ściśle prowadzony. Kontrolują oni ściśle czy od zarżniętego bydła, cieląt, baranów i t. d. nadwyżka przez rzeźników uiszczoną została. Z tych nadwyżek, które w większych powiatach znaczne kwoty, o wiele wyższe niż same kwoty dzierżawy wynoszą, bywają opłacani i utrzymywani przedewszystkiem rabini, dalej dozorcy, którzy nad rzeźnikami kontrolę prowadzą, potem wszystkie wydatki kahalne, światło w bóżnicy, płace nauczycieli w hajderach, wydatki na rozsądzanie różnych sporów, „koszty“ asenterunku żydków etc. etc.; po obrachunku tych wydatków pozostaje jeszcze znaczna kwota, która zostaje do funduszu żelaznego złożona.

Z p o w o d u t e j n i e p r a w n e j m a n i p u l a c j i ż y d o w s k i e j, dzieje się, że k a ż d y f u n t m i ę s a, który zwykle ze starych, chorych i często zdychających krów pochodzi (lepsze mięso bywa koleją do Wiednia wysyłane) kosztuje o trzy do pięciu centów drożej. To najgorsze mięso przepłaca zatem c h r z e ś c i j a ń s k a publiczność, aby nieświadomie opłacać w ten sposób wyznaniowe wydatki żydów.

Otóż wobec tego, ponieważ ustawa nie pozwala na wydzierżawienie podatku od mięsa z wolnej ręki, tylko przez publiczne licytacje, koniecznie zatem trzeba teraźniejszy system zmienić i pobór podatku od mięsa w inny sposób przeprowadzić, aby skandalicznym stosunkom dzisiejszym jak najspieszniej tamę położyć.

Dla wyjaśnienia powyższych twierdzeń opowiedzieć można następujące, na prawdzie polegające, zdarzenie: Pewien nadstrażnik skarbowy M. otrzymawszy pare tysięcy złr. tytułem spadku po zmarłych rodzicach, został na własną prośbę od straży skarbowej uwolniony, a przybywszy do swego wuja, który był przy dyrekcji skarbowej w Brzeżanach komisarzem skarbowym, prosił go o radę co ma zrobić z pieniędzmi. Komisarz P. pokazał proszącemu ogłoszenie licytacji na pobór podatku konsumcyjnego od mięsa i poradził mu, ażeby ofertę z przyłączeniem wadjum zaraz przedłożył, lecz przestrzegł go naturalnie, aby o tem nikomu nie mówił, ponieważ komisarzom skarbowym dobrze wiadomo, iż żydzi nad tem czuwają, ażeby nikt obcy poboru podatku od mięsa nie wydzierżawił.

W jakiś czas potem nastąpiła licytacja. Po odczytaniu ofert pokazało się, że 5 złożonych ofert nie miało, albo żadnej, albo prawie żadnej wartości tylko owa złożona przez byłego nadstrażnika M. zawierała ofertę o 50 złr. wyższą nad cenę fiskalną. Komisarz skarbowy ogłosił tedy zaraz, że M. jest jako *Meistbieter* dzierżawcą na dalsze trzy lata, a wszystkim 5 oferentom żydowskim zwrócił, wadjum i zamknął licytację. Natychmiast powstało pomiędzy żydami okropne zamieszanie; poprostu nie przypuszczali, ażeby goj śmiał dzierżawić pobór podatku konsumcyjnego od mięsa, zwłaszcza, że od lat przeszło 30 zawsze, jak wszędzie dzierżawa była w rękach rabina. Żydzi narobili tedy gwałtu, odgrażali się, że nowego dzierżawcę zniszczą, pojechali nawet do Lwowa z prośbą do krajowej Dyrekcji skarbowej, w celu unieważnienia tej dzierżawy. Ze Lwowa powrócili z odmowną rezolucją. Dopiero wtedy udali się do nowego dzierżawcy z pokorną prośbą o odstąpienie im dzierżawy. Nareszcie, gdy wszystkie groźby i prośby nie pomogły, i gdy z końcem grudnia przez nowego dzierżawcę przy asystencji jednego c. k. nadstrażnika skarbowego opis lokalów u rzeźników przeprowadzony został, przybył dotychczasowy dzierżawca rabin z 3-ma żydami do pana M. i prosząc o odstąpienie dzierżawy, ofiarował mu tysiąc złr. odczepnego M. targował się, a wreszcie z a d w a t y s i ą c e z ł r. o d c z e p n e g o z d e c y d o w a ł s i ę o d d a ć r a b i n o w i d z i e r ż a w ę w d r o d z e c e s s j i. Rabin był jeszcze uszczęśliwiony, że tak dobry interes zrobił i złożył zaraz trzymaną w kieszeni ofiarowaną kwotę odczepnego i kaucję. Skarb zyskał 50 złr. nad cenę fiskalną, p. M. zarobił 2000 złr. w przeciągu kilku dni, lecz ile zarobił rabin, tego nikt się nie dowiedział.

A oto drugi wypadek: Jak wiadomo, dzielą się żydzi w Galicji na dwa obozy: prawowiernych i t. zw. cywilizowanych. Oba te obozy jednak, ze względu na oszczędność, posiadają tylko jednego rabina, chociaż mają dwie bożnice. Otóż zazwyczaj dzieje się tak, że jedna partja sprzyja rabinowi, lecz druga nienawidzi go, a ponieważ każdy rabin w Galicji jest ze źródła dzierżawy podatku konsumcyjnego od mięsa utrzymywany, więc zdarza się czasem, iż w razie zaognionego sporu, nienawistna rabinowi strona stara się wszelkimi sposobami źródła dochodu rabina podkopać, ażeby nienielubianego z posady wyrzucić, a na jego miejsce innego sprowadzić. Ten wypadek zaszedł w B., powiecie stanisławowskim. Po ogłoszeniu licytacji na dzierżawę poboru podatku konsumcyjnego od mięsa, podała cichaczem owa wroga zborowi partja ofertę ni stąd, ni zowąd o 2.000 złr. wyższą nad cenę fiskalną. Gdy przyszło do przeczytania nadesłanych ofert, pokazało się, że kilka ofert zawierało tylko kwotę o 1—2 złr. nad cenę fiskalną, a nagle jedna była o 2.000 złr. wyższa od innych. Komisarz skarbowy, zdumiony, zapytał się obecnych żydów, czy oferta, z nadwyżką 2·000 złr. nie jest mylnie, przez nieuwagę, wystawiona: na to wystąpiło czterech żydów z oświadczeniem, że oferta została formalnie i umyślnie, z wiedzą oferentów, sporządzona, natychmiast też uzupełnili załączone do oferty wadjum, na wysokość żądanej kaucji. Po tej licytacji dopiero pokazało się, że żydzi w ten sposób, z powodu nienawiści do rabina, źródło, z którego rabin dochody swoje pobierał, zniszczyli, i tym sposobem z gminy go raz na zawsze wysadzili. Taki sam wypadek zdarzył się w K. pow. stanisławowskiego, z której to gminy, także niepopularnego rabina, płatnego z podatku konsumcyjnego od mięsa, wykluczono z gminy, odbierając mu dzierżawę.

Temu nielegalnemu i nader zgubnemu stanowi rzeczy, który na wyzyskiwaniu chrześcijańskiej publiczności polega, trzeba koniecznie zaradzić. Od chwili zaprowadzenia tego podatku, t. j. od 70 lat dzierżawa jego w żydowskich rękach się znajduje; z tego to źródła płynie utrzymanie rabinów, kahałów, i stąd żydzi czerpią na różne nie zawsze czyste interesy wyznaniowe i nadto znaczne kapitały odkładają. Konieczność zatem wymaga, ażeby władze skarbowe obecny, zupełnie nieodpowiedni, sposób opodatkowania mięsa jak najspieszniej zniosły i w inny system zmieniły. Wypadałoby pobór tego podatku albo oznaczyć według wagi bydląt i innych na rzeź przeznaczonych zwierząt albo bezpośredni sposób poboru podatku zaprowadzić. W każdym razie 200—300 tysięcy złr. wyższą od dotychczasowej kwotę rocznie wysoki skarb by uzyskał, — i to uzyskał, co rzadko nam się chyba zdarza, bez krzywdy chrześcijańskiej ludności, a przeciwnie z jej wielką ulgą i korzyścią.

Jeżeli można napoje t. j. wódkę, piwo i wino na miarę i wagę opodatkować, nie ulega więc żadnej kwestji, że i mięso również według wagi da się opodatkować.

Szarady.

I.

Pierwsze zwykły przyimek, a **trzecie** litera:
W bitwie, gdy **pierwsze drugie** komu towarzyszy,
Ten na nieprzyjaciela bez trwogi naciera.
Wspak **druga** i wprost **trzecia** jest zgubą dla myszy,
Druga, trzecia jest zwykle gruba, rzadziej cienka,
Całość wreszcie, to nazwa małego drewienka.

II.

Pierwsza zaimek, wtecz **druga**,
To miara szeroka i długa,
Razem, to rzeka poboczna Dunaju.
Trzecia wiatr przyjemny jest w maju.
Wszystko razem, o, to groźne imię,
Które z okrucieństwa słynie.

Kolej państwowa.

Ważny od dnia 1-go października 1899 r. (według czasu środkowo-europejskiego).

Odjazd z Krakowa, względnie z Podgórza.

Do Lwowa i Podwołoczysk: godzina 6 minut 31 zrana (posp.); godz. 8 minut 15 zrana; godz. 11 zrana; godz. 2 minut 49 popoł. (błyskawiczny); godz. 6 minut 15 wiecz.; godz. 8 minut 35 wiecz. (posp.); godzina 9 wieczorem; godz. 10 minut 50 wieczorem. **Do Czerniowiec**: godz. 8 minut 25 wiecz. (Express); godz. 9 wiecz.; godz. 10 minut 50 wiecz.; godz. 6 minut 31 zrana; godz. 8 minut 15 zrana; godz. 11 zrana.

Do Wieliczki: godz. 8 minut 15 zrana; godz. 1 minut 18 w południe; godzina 8 wiecz.; godz. 10 minut 50 wieczorem. **Do Jasła przez Rzeszów**: godz. 6 minut 31 zrana; godz. 2 minut 49 popoł.; godz. 10 minut 50 wiecz. **Do Tarnobrzega**: godz. 8 minut 15 zrana; godz. 10 minut 50 wiecz. (z przerwą 4-godzinną w Dembicy).

Do Nowego Sącza przez Tarnów: godzina 6 minut 31 zrana; godz. 11 zrana; godz 6 minut 15 wiecz.; godzina 10 minut 50 wiecz. **Do Stróżów przez Tarnów**: wszystkie poprzednie, oraz o godz. 2 minut 49 popoł. **Do Krynicy i Żegiestowa**: godz. 11 przedpoł.; godzina 10 minut 50 w nocy.

Do Kalwarji, Chabówki, Rabki, Nowego Sącza, Stróżów, Jasła, Iwonicza, Rymanowa, Chyrowa i Stryja: godzina 9 minut, 5 zrana; godz. 7 minut 55 wiecz. **Do Skawiny**: (prócz poprzednich) godz. 1 minut 8 popoł.

Do Wadowic przez Kalwarję: godz. 9 minut 5 zrana; godz. 7 minut 55 wiecz. **Do Bielska przez Kalwarję**: godzina 9 minut 5 zrana. **Do Oświęcimia przez Skawinę**: godz 5 minut 35 rano (z Podgórza-Płaszowa): godz. 1 minut 8 popoł.; godz. 7 minut 55 wiecz. **Do Żywca i Zwardonia przez Suchę**: godzina 9 minut 5 zrana.

Przyjazd do Krakowa, względnie do Podgórza.

Ze Lwowa: godzina 4 minut 40 zrana; godz. 7 zrana (pospieszny); godz 8 minut 45 zrana: godz. 1 minut 30 popoł.; godz. 2 minut 24 popoł. (błyskawiczny); godzina 6 minut 25 wiecz.; godz. 9 minut 38 wiecz. — **Z Wieliczki**: godz. 8 minut 45 zrana; godz. 11 minut 15 popoł.; godz. 6 minut 50 wicz. — **Z Jasła** przez Rzeszów: godz 4 minut 40 zrana godz. 1 minut 30 popoł.; godz. 9 minut 38 wieczorem. — **Z Tarnobrzega**: godz. 1 minut 30 popoł.; godz. 9 minut 38 wiecz.

Z Nowego Sącza przez Tarnów: godz. 8 minut 45 zrana; godz. 1 minut 30 popoł.; godz. 6 minut 25 wiecz.: godz. 9 minut 38 wiecz. — **Ze Stróżów** przez Tarnów: godz. 4 minut 40 zrana. — **Z Krynicy i Żegiestowa** przez Tarnów: godz. 1 minut 30 popoł.; godz. 9 m. 38 wiecz.

Z Chyrowa, Nowego Sącza i Chabówki: godz. 6 minut 36 zrana; godz. 4 m. 47 popoł. — **Ze Skawiny**: godz. 11 m. 10 przedpoł. — **Z Bielska i Wadowic przez Kalwarję**: godz. 9 minut 40 wieczorem: godz. 8 minut 45 zrana; godzina 4 minut 45 popoł. — **Z Suchej do Podgórza miasta**: godz. 7 minut 48 zrana. — **Z Oświęcimia**: godz. 6 minut 36 zrana; godz. 4 minut 47 popoł.; godz. 11 minut 10 przedp. godz. 9 minut 40 wiecz. — **Z Zwardonia i Żywca przez Suchą**: godz 4 minut 47 popoł.

KRONIKA.

Kraków, 23 grudnia.

Kalendarz kościelny. W sobotę Suchy dzień, Wigilja, Wiktorji, panny; jutro czwarta niedziela Adwentu, Adama i Ewy; w poniedziałek Boże Narodzenie; we wtorek Szczepana, pierwszego męczennika; w środę Jana, Ewangelisty; we czwartek Młodzianków, męczenników.

W niedzielę nabożeństwo brackie suchedniowe w kościele św. Anny i zaśnięcie świętego Jana Kantego.

W tymże dniu w kościele św. Katarzyny odpust bracki.

Msza św. pasterska w niedzielę o godzinie 12 w nocy w kościele Najśw. Marji Panny, u OO. Karmelitów na Piasku u OO. Kapucynów, u OO. Reformatów, u OO. Dominikanów. W kościele Bożego Ciała o godzinie 11 w nocy.

W poniedziałek w kościele OO. Bernardynów Msza św. pasterska o godz. 5 rano.

W kościele OO. Dominikanów, OO. Augustjanów i u świętego Florjana w poniedziałek odpust bracki.

We wtorek w kościele OO. Dominikanów i we wszystkich kościołach parafjalnych święcenie owsa.

W kościele OO. Karmelitów na Piasku rozpoczyna się we wtorek 40-godzinne nabożeństwo. O godzinie 9 rano we wtorek udzielenie błogosławieństwa papieskiego z odpustem zupełnym, po Wotywie święcenie owsa.

W środę w kościele św. Jana odpust zupełny, w kościele PP. Wizytek nabożeństwo półdniowe z wystawieniem Najśw. Sakramentu ku czci Najświętszego Serca Jezusowego (w tymże dniu święcenie wina po kościołach).

Kalendarz myśliwski. W grudniu wolno polować na: rogacze (samce sarn), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, dropie i pardwy, na ptactwo wodne i błotne w ogólności. Dziki i lisy należy tępić

Przez cały rok nie wolno polować i ochraniać należy łanie, sarny (kozy), cielęta i spiczaki, tudzież samice głuszczów i cietrzewi.

Przepisy te nie stosują się do polowań w zamkniętych wierzyńcach.

Kalendarz rybacki. W grudniu ochraniać należy: łososia, raka samca i samicę.

Kalendarz astronomiczny. Wschód słońca rozpoczyna się w sobotę o godzinie 7 minut 40, zachód przypada o godz. 3 minut 41, długość dnia godzin 8 minut 1.

Zmiana lunacji: Druga kwadra księżyca przypada dnia 25 o godz. 4 minut 57 rano.

Repertuar teatru miejskiego.

W poniedziałek, dnia 25 b. m.: **„Kordjan"**, poemat dram. J. Słowackiego, ułożony na scenę, w 10 obr. (po raz 8)

We wtorek. dnia 26 b. m.. godz. 3: **„Tamten"**, sztuka w pięciu aktach Józefa Maskoffa (po raz 42). ceny zwykłe.

O godz. 7: **„Kościuszko pod Racławicami"**, obraz historyczny w 7 osłonach z muzyką, napisał A. W. Lasota (po raz 50).

W środę, dnia 27 b. m.: **„Józefina"**, sztuka w 4 aktach z prologiem H. Bahr'a (po raz 6).

We czwartek, dnia 28 b. m.: **Zaczarowane Koło"**, baśń dram. w 5 aktach L. Rydla, ilustr. F. Szopskiego (po raz 25).

Z dnia na dzień.

Czytałem, nie pamiętam gdzie, że w którejś ze stolic niemieckich, również nie pamiętam w jakiej, wystawiona na scenie „Józefina" Bahra, spotkała się z entuzjastycznem... gwizdaniem. Nawet Niemcom nie podobało się to kopanie lwa przez wiedeńskiego kłapoucha.

A czy nam może, czy powinno się podobać?

Poważni historycy dużo nam złego powiedzieli o Napoleonie. Oszukiwał nas, wyzyskiwał, krwią polską szafował dla swoich celów. Dla zgody z Rosją gotów był nas zaprzedać, zwłaszcza w chwili, gdy chciał zostać szwagrem Aleksandra I. Legjoniści nasi ginęli za sprawy obce, dziesiątkowała ich zaraza na San Domingo. Przy zawarciu pokoju w Luneville zapomniał, że istnieje Polska. Tworząc księstwo warszawskie, miał na myśli tylko własny interes — chciał mieć wysuniętą placówkę, obóz wojskowy w tej stronie Europy. Księstwo uginało się pod uciskiem wojskowym i finansowym.

Wszystko to prawda, a jednak...

A jednak to księstwo warszawskie, to była ostatnia, przynajmniej pozornie niepodległa Polska...

A jednak Napoleon, to Samosierra.

A jednak Napoleon, to książę Józef, Dąbrowski, Kniaziewicz... — legjony!

A jednak „na lombardzkiem polu" powstała pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła"·

A jednak

„...od czasów pana Tadeusza —
„Kościuszki, świat takiego nie miał genjusza
„Wojennego jak wielki cesarz Bonaparte..."
... „Ów mąż, bóg wojny
„Otoczon chmurą pułków, tysiącem dział zbrojny,
„Wprzągłszy w swój rydwan orły złote obok [srebrnych,
„Od puszcz libijskich latał do Alpów podniebnych,
„Ciskając grom po gromie, w Piramidy, w Tabor,
„W Marengo, w Ulm, w Austerlitz...
„Obok Francuzów ciągnie polskie wojsko całe
„Nasz Józef, nasz Dąbrowski, nasze orły białe!
„Już są w drodze, na pierwszy znak Napoleona
„Przejdą Niemen i bracie! Ojczyzna wskrzeszona".

A jednak:

„Bitwa! gdzie? w której stronie? pytają młodzieńce,
„Chwytają broń; kobiety wznoszą w górę ręce;
„Wszyscy pewni zwycięstwa, wołają ze łzami:
„Bóg jest z Napoleonem, Napoleon z nami!"

I gdyby historycy wydali jeszcze sto tomów najgorszych opinij o Napoleonie, gdyby wykazali dziesięć razy dokładniej, że byliśmy tylko narzędziem jego samolubnych planów — w poezji narodowej, w dziejach porozbiorowych „czasy napoleońskie" będą zawsze błyszczeć jako ostatni świetny słup ognisty, który zdawał się nas prowadzić do Ziemi obiecanej...

Żadne też rozumowania (choćby z szablonowem powoływaniem się na nieufność Kościuszki) nie obalą logicznego wniosku, że trjumf Napoleona nad Rosją w r. 1812 — byłby zmartwychwstaniem całej Polski z Litwą i Rusią, od morza do morza.

Mimo klęski, a nie tryumfu, mimo wszelkich słusznych pretensyj, jakie mieć możemy do „boga wojny", postać jego w wyobraźni naszej długo i długo otoczona będzie aureolą bohaterstwa, sławy, genjuszu...

Któż z nas, będący młodzieńcem przed 20 lub 30 laty, nie czuł się szczęśliwy, jeżeli mógł uścisnąć i ucałować rękę napoleońskiego żołnierza?

Jaka więc myśl kierowała dyrekcją naszego teatru, kiedy nam kazała przypatrywać się na scenie karykaturze Napoleona, spłodzonej przez teutońskiego bezroga?...

Nie widziałem nigdy „Napoleona w Hiszpanji". Wyobrażam sobie, że jest to marne melodramidło — a jednak dziś jeszcze miałoby, sądzę, większe u nas powodzenie, niż „Józefina" Bahra.

Bo ten Napoleon w Hiszpanji — to nasz Napoleon. *Obserwator I.*

Na ręce moje złożona została następująca pokorna petycja:

Najczcigodniejsza, najszlachetniejsza, marki dzierżąca, opaski przyjmująca, przekazy śląca, zaliczki ściągająca, frachty biorąca, nadawcza i podawcza, frankująca, rekomendująca, recepisy wydająca, a coraz nam droższa c. k. instytucjo poczty!

Niżej jeszcze nie podpisani, lecz podpisać się mający, z bezgraniczną radością przyjęli zapewnienie, że nie dwa, lecz cztery razy dziennie odbierać będą listy, gazety, opaski, korespondentki (z widokami i bez widoków), jakoteż inne tego rodzaju posyłki, roznoszące oświatę, oraz wszelkie inne potrzebne lub niepotrzebne wiadomości.

Po tem seledynowem zapewnieniu nastąpił zaraz czyn, ale zielony.

Przez cały szereg lat otrzymywaliśmy pocztę warszawską, przychodzącą o godz. 10 rano, dopiero o godz. 5 po południu. Dzięki nowemu rozporządzeniu mieliśmy ją już koło godziny 12.

Ale: nie ufaj szczęściu — mówił mędrzec starożytny.

Radość nasza trwała cały tydzień.

Po tygodniu zaczęliśmy otrzymywać pocztę warszawską, zwłaszcza gazety, znowu dopiero wieczorem.

Od dziesięciu zaś dni nie otrzymujemy jej na drugi dzień, ani wieczorem, ale dopiero na trzeci dzień rano, jeżeli ranem możemy zwać godzinę 11, a nawet 12 w południe.

Wnosimy więc pokorną prośbę:

Najczcigodniesza, najszlachetniejsza (i dalej jak wyżej) — znieś ulepszenie i racz powrócić do dawnego stanu. Będziemy przynajmniej wiedzieli na pewno, że przy gorszej dwurazowej dziennie ekspedycji, otrzymamy pisma warszawskie nazajutrz, a nie dnia trzeciego.

Całując rączki, pozostajemy i t. d. (tu nastąpią podpisy). *Obserwator II.*

Dziś w sobotę 23 b. m. o godz. 2 popołudniu wyjdzie nadzwyczajny dodatek do „Głosu Narodu", obejmujący najświeższe informacye i depesze.

O kamieniu Kościuszki. Przy zawieraniu umowy o przemianę tramwajów konnych na elektryczne i o uzupełnienie ich do Zwierzyńca, położyło miasto warunek, aby kolej w kierunku Wiślnej ulicy prowadzona, nie potrąciła o pamiątkowy kamień Kościuszki, na którym on składał przysięgę narodowi w r. 1794.

Bardzo chwalebne to zastrzeżenie, tylko że ono nie dotyczy obecnego miejsca, gdyż lekkomyślnie wytknięte na chybił trafił przy zakładaniu kamienia przed niedawnym czasem, wcale nie wskazuje miejsca prawdziwego. Ci, co osadzeniem owego kamienia się zajmowali, wiedzą dobrze, że fałszywie go umieścili, ale nie starają się o naprawę błędu.

Znane są obrazy Stachowicza, przedstawiające ową przysięgę Kościuszki na Rynku krakowskim i według nich możnaby, jeżeli nie zupełnie, to przynajmniej w przybliżeniu oznaczyć porządnie miejsce, gdzie stał naczelnik narodu w czasie tej wiekopomnej przysięgi. Obowiązkiem sumienia jest teraz usunąć ten fałsz raz, aby społeczeństwo się nie łudziło, iż otacza pietyzmem miejsce uświęcone wspomnieniem historycznem.

Budownictwo miejskie dokonać może najlepiej wytyczenia właściwego punktu, posiadając plany dawnego ratusza. Palikami powinno się oznaczyć wszystkie krawędzie budowli miejskiej z tej strony, i porównać wtedy obraz Stachowicza z placem, z wieżą ratuszową i całego Rynku widokiem, a pokaże się, że Kościuszko stał wtedy najmniej o 20 metrów dalej ku ulicy Wiślnej, niż wskazuje obecnie kamień pamiątkowy.

Przytem godzi się na właściwem miejscu postawić zamiast płyty, po której ludzie nogami deptają pomnik w innym jakimś kształcie, n. p. obelisku, aby się wznosił ponad tłum zalegający wśród różnych uroczystości Rynek krakowski.

Gdziekolwiek punkt ten się znajdzie, nie może być przeszkody dla pomnika, skoro ich nie ma dla latarń, studzien lub słupków tramwajowych. Polacy, przyjeżdżający z różnych dzielnic ojczyzny, utrzymują, że w Krakowie każdy kamień do nich szczerzej przemawia, niż jego mieszkańcy, że tu na każdym kroku uczyć się można dziejów Polski, niechże im tedy jakiś pokaźniejszy głaz, niż obecny, opowie, gdzie stał Kościuszko w chwili przysięgi składanej narodowi dnia 24 marca 1794 r.

Towarzystwo imienia Tadeusza Kościuszki, w Krakowie istniejące, powinnoby się szczerze zająć tą sprawą i nie pozwolić, aby na fałszywem miejscu pamięć wielkiej chwili obchodzono, oraz postarać się, aby wieńce w dnie Kościuszkowskie i ognie palone miały pokaźniejszy pomnik na ten cel do użycia. Posąg na koniu, który ma stanąć na środku chodnika od Szewskiej ulicy do Sukiennic, nie ma łączności z miejscem przysięgi, tembardziej, gdy przedstawia bohatera na koniu, a kamień osobny niech wskazuje miejsce przysięgi.

W dalszej konsekwencji, jeżeli już ten Kraków ma z kamieni i bronzów mówić o przeszłości swojej i całej ojczyzny, należałoby postawić głaz stosowny z napisem tam na Rynku, gdzie hołdownicy składali przed królami naszymi przysięgę na wierność Polsce. Znalazłoby się tu niejedno jeszcze wiekopomne wspomnienie do utrwalenia, lecz to zostawmy Towarzystwu miłośników Krakowa, a tymczasem postarajmy się o usunięcie z Rynku krakowskiego blagi co do kamienia Kościuszkowskiego.

Opłatek w „Lutni". Ze czcią dla tradycji członkowie „Lutni" z hasłem „Braciom naszym śpiew: dla Ojczyzny krew!" gromadzą się co roku, aby dzieląc się opłatkiem, zamienić serdeczne życzenia lepszej przyszłości. Tak też we czwartek zebrała się sympatyczna drużyna śpiewacka w lokalu swym przy ulicy Szpitalnej na doroczną uroczystość. Pierwszy przemawiał wymownemi słowy kapelan „Lutni" ks. redaktor kanonik Teofil Flis, poczem przeplatane pieśniami wznosili toasty: prezes dr. Konst. Lipowski, prof dr. Bylicki, dyrektor Steibelt, dr. Ławrowski, p. Zyg. Mendelsburg, p. Eug. Gralewski, p. inż Steifer i inni. Wieczór wśród popisów zamienił się w prawdziwą ucztę artystyczną, w której chór wykonał piękne kolędy, „Pieśń legjonów" i wiele pieśni swojskich i obcych. Na fortepianie koncertował dr. Bylicki, a p. Jejde wygłosił piękny wiersz Fr. Morawskiego: „Nadzieja". Ogólną wesołość wywołały dekadentyczno-dziadowskie kuplety odśpiewane z nieporównanym humorem przez p. Tullinsa. Wieczorek przeciągnął się aż do północy.

W „Przyjaźni" krakowskiej będzie „Drzewko" dla członków we wtorek dnia 26 b. m. o godzinie 5 po południu.

Uroczystość Opłatka dla członków odbędzie się dnia 1 stycznia 1900 o godz. 5 po południu. — Walne zgromadzenie doroczne naznaczono na dzień 7 stycznia.

Wystawa gwiazdkowa w Kole artystyczno-literackim jest niezwykle wspaniała. Fałat i Są tam krajobrazy i portrety, P Stachiewicza „Bajka", obrazy Józefa Chełmińskiego, Winc. Wodzinowskiego, Kaspra Żelechowskiego, St. Janowskiego, Józefa Mehoffera, Teodora Aksentowicza, L. Wyczółkowskiego i wielu innych. Wystawa, na którą wstęp kosztoje tylko pół korony (25 ct.) potrwa tylko do 1 stycznia 1900 r.

W sprawozdaniu z posiedzenia komisji przemysłowej miejskiej, odbytego w dniu 18 b. m, mylnie wydrukowano, jakoby komisja uchwaliła kwotę 216 złr. 65 ct., przeznaczoną na nagrobek ś. p. dra Faustyna Jakubowskiego, jako prezesa Wystawy krajowej, w myśl jego życzenia przeznaczyć jako jednorazowe stypendjum dla biednego rękodzielnika. Kwota 216 złr. 65 ct. złożona została przez wystawców, którzy brali udział w Wystawie krakowskiej z r. 1887, celem zakupienia upominku dla ś. p. Ojca mego, jako dyrektora tejże Wystawy i że ś. p. Ojciec mój wyraził wówczas życzenie, aby kwota ta została przeznaczoną na jednorazowe stypendjum dla biednego rękodzielnika, co komisja przemysłowa uchwałą swą z 18 b. m. w czyn wprowadziła. Łączę wyrazy prawdziwego poważania *Dr F. Jakubowski.*

Gleitzman, jak już wczoraj w edycji porannej donosiliśmy, bezpośrednio po naszej czwartkowej notatce o „systemie", znalazł się nagle w Krakowie. Okazało się, że policja dowiedziała się, gdzie go szukać. Zaprosiła go tedy do siebie i p. komisarz Balicki miał tę przykrość, że go musiał bezpośrednio po przesłuchaniu uwięzić w gmachu dyrekcji policji i kazać odstawić do więzienia śledczego w sądzie karnym po ukończeniu pierwiastkowych dochodzeń.

W związku ze sprawą wielickiej Kasy oszczędności, jak już wczoraj w edycji porannej donosiliśmy, został dr M. Starakiewicz, koncypient adwokacki, skazany na 6 tygodni aresztu za podpisanie pod wekslem na 20 złr. chłopa Jelonka. Weksel miał służyć jako „honorarjum" Starakiewiczowi za wyrobienie pożyczki.

Jeszcze o końcu wieku. Odbieramy następujące uwagi: Przesyłam Szan. Redakcji kilka słów z powodu tak rozpowszechnionych, a mylnych zdaniem mojem zapatrywań ogółu na kwestję końca wieku XIX, a początek XX. Arcymistrz naszej poezji Słowacki, kreśląc swych bohaterów w Kordjanie, popełnia ten sam błąd, jaki obecnie my wszyscy, nazywając 31 grudnia 1799 roku wigilią wieku XIX. Przecież jak cały rok setny należał do stulecia pierwszego, które w razie przeciwnym, liczyłoby lat tylko 99, tak i rok 1800 należy cały do wieku XVIII panie Słowacki! — tak i cały rok 1900 będzie się wliczał jeszcze do wieku XIX, łaskawa P. T. Publiczności, co sądzę, dobrze zrobi niejednemu, a zwłaszcza tym z płci nadobnej, które się jeszcze o ślubną obrączkę nie postarały, zważywszy, że złe języki o rok później będą je mogły nazwać: zeszłowiecznemi! *J. M. Midowicz."*

„Gwiazda" tarnowska na uczczenie rocznicy powstania listopadowego odegrała siłami amatorskiemi sztukę Margerta p. t. „Unici", która wypadła pod każdym względem znakomicie, dzięki energji p. Buntecera, który zajmował się reżyserją tej sztuki i który w amatorach umiał obudzić prawdziwy zapał. Dochód z przedstawienia przeznaczono na budowę kaplicy przy szkole żeńskiej Franciszka Józefa I. Do pomnożenia funduszu przyczynił się p. Kowalski bezpłatnem użyczeniem sali i p. Skrypek przez bezpłatne oświetlenie.

Sąd powiatowy w Żywcu używa kopert z nagłówkiem w języku niemieckim „k. k. Bezirksgericht"; odważa się w takich kopertach posyłać pisma do stron! Mamy prawo domagać się od prezydenta Czyszczana, aby zrobił porządek z odnośnym funkcjonarjuszem, który raczy niewiedzieć o tem, że Żywiec jest polskiem miastem! Jesteśmy jednak pewni, że p. prezydent Kaiser w Wadowicach znajdzie sam środki, aby to wytłomaczyć żywieckiemu sądowi powiatowemu.

Dyrekcja kolei państwowych donosi, że z dniem 22 b. m została otwartą linja Stryj-Chodorów.

W sprawie nieszczęsnych stosunków szkolnych gmina Stary Sącz wręczyła panu namiestnikowi następujące pismo: „Excelencjo! Z uprzejmą i gorącą prośbą udajemy się do Waszej Excellencji imieniem gminy Starego Sącza o łaskawe, jak najszybsze wejrzenie w sprawę szkolnictwa w naszej gminie.

Gmina Stary Sącz należy do okręgu szkolnego Nowy Sącz. Według przypadającej repartycji gmina sama opłaca na szkołę męską (nie przemysłową) rocznie 2069 złr. 74 kr., a nadto reskryptem ck. Namiestnictwa, a względnie ck. Rady szkolnej krajowej z d. 14/12 1897 do liczby 20091 ma płacić dodatkowo po 500 złr. rocznie.

Kwotę 2069 złr. 74 kr. rocznie opłaca gmina regularnie; później wymierzoną nadwyżkę, która po dziś dzień wynosi przeszło 4000 złr., gmina dotąd nie zapłaciła, lecz wniosła przeciw temu rekurs do ck. Ministerjum wyznań i oświaty. Wydział krajowy na pokrycie tej należytości zajął czynsz propinacyjny. Przeciw temu wniosła gmina dnia 24 czerwca 1899 prośbę do ck. Namiestnictwa, by aż do orzeczenia ck. Ministerjum sekwestr wstrzymać. Na prośbę tę niema dotąd odpowiedzi, natomiast jedyny dochód gminy z propinacji zajęto, wskutek czego brak gotówki w kasie gminnej tak, iż wypłata pensyj urzędników i służby gminnej także i podatków wstrzymaną została.

Pomimo tak znacznej kwoty, jaką przypada płacić gminie na szkołę, szkoła ta swemu zadaniu prawie zupełnie nie odpowiada. Uczącej się młodzieży jest 370 w klasach 5-ciu, nauczycieli zaś wraz z kierownikiem 4-ech i jeden bezpłatny pomocnik. Od 1 września br. począwszy, wynajęto mieszkanie na równorzędne klasy, za które gmina czynsz opłaca. Ck. Starostwo na urządzenie tych klas nakazało złożyć 459 złr. Mimo tego wszystkiego nauka w przybranem mieszkaniu li tylko z braku nauczycieli się nie odbywa, a uczniowie uczęszczają zaledwie co drugi dzień na naukę w budynku głównym. Upraszamy zatem Jego Excelencję jeszcze raz o łaskawe wstrzymanie wyznaczonego sekwestru i o wglądnięcie w sprawy szkolne tutejszej gminy, gdyż nasze dzieci nietylko że niczego się nie uczą, ale to, co

umiały, zapomną. Stary Sącz dnia 10 grudnia 1899. Burmistrz *Franciszek Gliński, A. Pawlikowski, Antoni Molewicz, Wojciech Przybyłowicz m. p.*“.

Ze wspomnień artysty. Jeden z artystów naszej sceny opowiadał nam wczoraj następujący urywek ze zwych teatralnych wspomnień:

„*Było* to w jakiemś mieście czy miasteczku w Prusach Zachodnich, już wiele lat temu. Teatr poznański dawał tam po raz pierwszy swoje przedstawienia. Z powodu braku miejsca w hotelu, większą część artystów ulokowano prywatnie; między tymi ostatnimi znajdowałem się i ja. Po przedstawieniu Barbary Radziwiłłównej“ jeden z alumnów seminarjum Pelplińskiego, zaproponował mi gościnę u siebie. Na drugi dzień byłem zaproszony do salonu i przedstawiony paniom.

Nigdy nie zapomnę tej konwersacji.

— Pan to szczęśliwy — rzecze jedna — bo tak jeździ sobie z komedjami jak ptak po świecie, to musi być bardzo pięknie tak dużo widzieć. O! bo i ja beła w Berlinie i widziała takie dzikie, takie Chińcze, co to miały takie długie warkocze aż po same pięte. Ale to piekny kawałek ta „Barbara“! kto to beł, to jest, kto pokazywał?

Tu wymieniłem nazwisko artystki, grającej rolę tytułową.

— A to nie musi być głupia, kiedy tak mądrze gadała.

— Nic dziwnego, szanowna pani, bo to była nauczycielka, odpowiedziałem.

— O Jezu! — wykrzyknęła druga — beła nauczycielką i poszła do komedjantów? O Jezu! Pewno i pan nie musi być bele kto? co?

Tu rozmowa się urwała, seminarzysta podszedł do fortepianu i jednym palcem począł brzdąkać.

— Fortepian nam się zepsuł, a nie ma komu go naciągnąć — przemówił — czyby pomiędzy panami nie znalazł się jaki stroiciel?



Arcyksiążę Franciszek Ferdynand d'Este



Baronówna Chotek,
dama dworu arc. Stefanji



Hr. Emeryk Lonjay



Arcyks. Stefanja

Wiedziałem już gdzie jestem i z kim mam do czynienia, więc odpowiedziałem, że wiem jak się to robi. Natychmiast zaczęto na mnie nalegać, żebym się zabrał do strojenia, do czego otrzymałem siekierę i obcążki. Podczas „strojenia“ wypytywała mnie jedna z pań — czy jestem żonatym i czy wogóle komedjanci się żenią. Na co druga odrzekła jej z pogardą:

— Ale gdzież tam! oni tak... ze sobą... żyją...

Siekierą wyjąłem klawiaturę, pokłady kurzu zostały usunięte; obcęgami wzmocniłem trochę kołki, naciągnąłem struny, by nie zbyt brzęczały i na tak „wystrojonym“ instrumencie zagrałem „Boże coś Polskę“ i poloneza Ogińskiego.

Zachwyt pań nie miał granic. Żałowały, że jestem „komedjantem“ i jednogłośnie zaopinjowały, że mógłbym być śmiało organistą przy farze.

Nie dawno otrzymałem list z Poznania, w którym przyjaciel mi donosi, że w domu państwa X., w mieście Y., na Kaszubach wspominają jeszcze jako *curiosum* o owym młodym człowieku, który, mogąc być organistą, został komedjantem!...

Niemcy w Azji Mniejszej. Wiadomość, iż sułtan turecki niemieckiemu konsorcjum budowy kolei udzielił przywileju na budowę kolei w przedłużeniu torów anatolijskich aż do Bagdadu, wywołała entuzjazm wśród polityków niemieckich, pewne zaś obawy u rolników, którzy obawiają się nowej a groźnej konkurencji. Kolej ta od Bosforu doprowadzona jest już do Eskiszehr, skąd rozdzieli... nogi, na północ dotrze do Erzerum, a w kierunku południowo-wschodnim aż do Bagdadu. Z tych odnóg już gotowa jest jedna odnoga do Angory, druga do Konji, które leżą mniej więcej w połowie szerokości Azji Mniejszej, licząc od zachodu na wschód. Zamiarem kapitalistów niemieckich jest otworzenie dla świata niesłychanie urodzajnych obszarów Azji Mniejszej. Znany geograf Sievers tak mówi o tej nowej zdobyczy polityki niemieckiej: „Już w starożytności Azja Mniejsza zwana była śpichlerzem ówczesnego świata. Głównie bywa tam uprawiany jęczmień, tak, że nawet konie karmione są ziarnem jęczmiennem. Prócz tego ogromne plony daje tam pszenica, kukurydza, żyto i owies. Ludność żywi się głównie kukurydzą. Obecnie uprawa tych ziemiopłodów jest najzupełniej pierwotna, a pomimo to, dzięki niezmiernej urodzajności gleby, w okolicach Angory, lub w dolinie Menderes pszenica daje 15—20 ziarn bez nawozu.

Niemniej obiecującą jest tam uprawa owoców; tak np. wiele jabłek, spożywanych w Europie, pochodzi z Azji Mniejszej. Prof. Menz stwierdził, iż gleba tamtejsza doskonale nadaje się do uprawy buraka cukrowego. Dernburg widział w niektórych okolicach jęczmień, dający 40 ziarn, w prowincji zaś Danji kukurydzę o 300—350 ziarn. Zwłaszcza doliny nadmorskie należą do najurodzajniejszych w świecie. Z postępem budowy kolei podnosić się będzie



Arcyksiężniczka Elżbieta
córka arc. Rudolfa i arc. Stefanii.

w tym żyznym kraju kultura rolna, a kapitały europejskie dzisiejsze pustkowie zamienią na niwy kwitnące.

Na pomnik dla cesarzowej Elżbiety w Budapeszcie zebrano z prywatnych składek sumę 727.000 złr. Niebawem rozpisany zostanie konkurs na projekt nowego pomnika.

...stawa dla ochrony zwierząt. Aby mo... najwięcej ... popularyzować piękną ideę ochrony nad zwierzętami, zamierza w r. 1901 wiedeńskie Towarzystwo ochrony zwierząt urządzić w stolicy Austrji wielką międzynarodową wystawę w dziedzinie opieki i ochrony wszelkiego rodzaju zwierząt pożytecznych, która szerokim kołom publiczności stawi przed oczy zbawienne skutki, jakie osiąga się, ochraniając zwierzęta przed wszelkiego rodzaju nieprzyjacielem.

Projektowana wystawa opiera się na nowej zupełnie idei. To też zgodnie z tem, pragnie zarząd wyżej wspomnianego Towarzystwa nadać jej równie oryginalny charakter, daleko odbiegający od zwykłego szablonu pospolitej międzynarodowej wystawy.

Wystawa otwartą zostanie w maju r. 1901 i trwać będzie do końca września tegoż roku. Urządzona w rotundzie Prateru, obejmuje ona ośm działów, z których każdy z osobna świadczyć będzie o tem, co dotychczas w różnych dziedzinach zdziałała umiejętnie stosowana ochrona nad światem zwierzęcym.

Echa z teatru wojny. W bitwie pod Maggersfontein Boerowie po raz pierwszy w obecnej wojnie wystąpili do walki w polu otwartem, na płaszczyźnie, gdy dotychczas wszystkie bitwy i utarczki przyjmowali na terenach górzystych. W nowych warunkach okazali się równie niebezpiecznem, równie dobrze wyćwiczonem wojskiem. Taktykę swoją ukrywania się za wyniosłościami, złomami skalnemi i drzewami stosują także i na nizinach. Kopią umyślnie rowy do strzelania i otaczają je siecią drutów kolczastych, umieszczonych na słupkach. Takie sztuczne przeszkody na równym terenie Boerowie sypią w znacznych odstępach wzdłuż całego frontu na jednej linji, za niemi prowadzą drugą taką linję, w razie potrzeby trzecią i t. p. Rowy obronne, posiadające taką tylko głębokość, aby leżący w nich strzelcy mogli się bezpiecznie chronić od strzałów, na łąkach nad rzeką Modder były zupełnie ukryte w wysokiej trawie. Dzięki temu właśnie Boerowie mogli dopuścić pułki angielskie tak blisko, że ogień karabinowy szerzył w szeregach konnicy angielskiej spustoszenia straszliwe.

Z wyprawy do Mongolii. W tych dniach powrócił nad Newę znany uczony i podróżnik Potanin, który wczesną wiosną roku bieżącego wyjechał przez Syberyę do Mongolii i dotarł aż do klasztoru Chan-Tabym-Sume na szczycie ptaskowzgórza Chin-Gan. Towarzyszyli mu w podróży studenci: Sołdatow i Zwiagin. Ekspedycja zebrała dużo ciekawych materyałów, tyczących się fauny i flory miejscowej, tudzież narzecza miejscowych pokoleń mongolskich. P. Potanin ma zamiar wygłosić wkrótce odczyt o swojej podróży.

Fantastyczna okropna potwarz. W dniu 21-go lipca b. r. rzuciła się z okna drugiego piętra, domu pod l. 44 przy Lienfeldergasse, służąca Marja Popp i zabiła się na miejscu. Tymi dniami podała wydalona z Wiednia wyrobnica Barbara Treipl skargę sądową na pozostałą córkę Poppowej, jakoby ta ostatnia była morderczynią swojej matki.

Córką Poppowej jest wyrobnica Marja Roubetz, zamieszkała w Wiedniu. Marja Roubetz żyła w kłótni z Treiplową. Treiplowa zeznaje obecnie, że Roubetzowa przyznała się jej do zabójstwa matki.

Mianowicie miała jej raz opowiedzieć sen, w którym duch matki przyszedł ją trapić za to, że ją zgładziła ze świata. Nie mogąc rzekomo później uspokoić wyrzutów sumienia Roubetzowa, wyznawała całą winę Treiplowej...

Zbrodniczego czynu miała Roubetzowa dopuścić się w gniewie.

Na podstawie tego oskarżenia, policja przeprowadziła gruntowne śledztwo, które wykazało, że obwinienie Roubetzowej jest całkowicie bezpodstawne, wobec czego prokuratorja państwa zajęła się nikczemną potwarczynią Treiplową.

Teatr, literatura i sztuka.

Z dziedziny tonów.

Najbliższy koncert „Lutni" zaznaczy się niezwykle ożywionym i obfitym programem. Oprócz znakomitej śpiewaczki opery paryskiej Adelajdy Zelay, weźmie również udział w produkcji tej pianistka p. Jadwiga Sarnecka, dawno zaś na estradzie koncertowej nie pojawiający się skrzypek p. Hock, przypomni się publiczności odegraniem K o n c e r t u Brucha. Dla chórów obszerne pole popisu stanowić będą niewykonane dotąd utwory Chopina, Moniuszki, Münheimera, Szuberta, Brahmsa, Rossiniego, wreszcie, jako nowość *par excellence* wymienić wypada orkiestrową *Suitę* Zygmunta Stojowskiego, na którą zawczasu uwagę miłośników swojskiej muzyki zwracamy.

Pomiędzy operami, które w bieżącym sezonie scena lwowska wznowić zamierza, znajduje się w repertuarze opera Żeleńskiego „Goplana".

Talent kompozytorski Jana Galla, ani głęboki, ani oryginalny, nadaje się przecież korzystnie do malowania tonami obrazków, zaprawionych lekkim erotyzmem, lub tryskających szlachetnym dowcipem. Jako nowy dowód potwierdzający zdanie nasze, służyć może — wydany świeżo pod tytułem „Z teki wędrowca" cykl pieśni, odznaczających się wdziękiem, melodją łatwą, ale równocześnie także zdradzających skłonność do naśladownictwa w rodzaju Meyer-Helmunda, Gilletta lub Delibesa. Z sześciu numerów, wypełniających cykl wspomniany, polecamy szczególniej pieśń „Ptaszyno ma" oraz „Czarne oczka", tę ostatnią głównie dlatego, ponieważ jest w tym zbiorze jedyną pieśnią, na której oddźwięk swojskiej nuty ślady swoje zaznaczył.

Główna cecha artystycznej natury Władysława Żeleńskiego, mianowicie wstręt do wszystkiego co pospolite i banalne, objawia się w wydanej przez firmę Krzyżanowskiego pieśni: „C z y p a m i ę t a s z?"

W dobie panowania trywjalności, przyzwyczajającej nas do oklepanych form, do bezmyślnego powtarzania i przepisywania pewnych frazesów, pieśń Żeleńskiego, drgająca nowem życiem, pełnią myśli i uczucia, należy istotnie do zjawisk nadzwyczajnych.

Tak rzadko zdarza się nam spotkać w świątyniach krakowskich z wykonaniem nowego jakiegoś dzieła religijnego, że nie możemy nie wspomnieć o M s z y ks. Perosiego, wykonanej niedawno po raz pierwszy w kościele OO. Dominikanów.

Lubo promień wyższego natchnienia kompozycji tej nie dotknął, ma jednak Msza ks. Perosiego tę zasługę, że nie ciągnąc zbyt do ziemi, nie grzeszy światowością, w jakiej tonie większa część dzisiejszych kompozycyj religijnych, napróżno w warunkach służby Bożej szukających miejsca dla siebie. Lecz trudno — nie każdemu wiekowi daną jest możność spełnienia każdej misji. Savigny odmówił podobno naszemu stuleciu powołania do prawodawstwa, zdaje się jednak, że w wyższym jeszcze stopniu nie dostaje nasza zdolność w kierunku tworzenia nowej muzyki religijnej. Dopóki więc nowe życie nie użyźni sztuki i z dawną siłą nie stworzy na tem polu formy, odpowiadającej wysokiemu znaczeniu obrzędów religijnych, kompozytor kościelny postąpi najlepiej, jeżeli ustrzedz się zdoła przynajmniej sposobów i wyrażeń, które się pojęciom o miłości i bojaźni Bożej sprzeciwiają. Tę poważną dążność znać właśnie w kompozycji ks. Perosiego.

HUMOR.

Filantrop.

Święta nadchodzą. Przytułki dobroczynne błagają o dary na „Gwiazdkę". Między innemi prosi o takie ofiary zakład dla nieszczęśliwych dzieci ociemniałych.

Więc matka, chcąc zaprawiać synka do czynów miłosierdzia od wczesnej młodości, zapytuje:

— No, synku, co też ofiarujesz ze swoich zabawek dla ubogich dzieci ślepych?

A mały filantrop po namyśle:

— Niech mamusia pośle mego pajaca z urwaną głową.

— Co ty mówisz!

— No tak; jeżeli dzieci są ślepe, to nie zobaczą, że ma głowę urwaną

Z rozmów za wachlarzem.

Osiemnastoletnia osoba płci żeńskiej, pełna powabów i wdzięku, do dwudziestopięcioletniej osoby płci męskiej, zakochanej w tych powabach i wdziękach po uszy:

— Panie Janie, który z kwiatów jest dla pana najmilszy?

A młodzian, chcąc wypowiedzieć wszystko, co mieści w tej chwili jego rozkochane serce:

— Sądząc po pani, panno Marjo, fijołek...



Hr. Clary Aldringen
ustępujący szef austrjackiego rządu

Ostatnie depesze „Głosu Narodu"

Dymisja hrabiego Clary.

Wiedeń 22 grudnia. *Deutsches Volksblatt* występuje z ostrą krytyką ministerstwa Witteka, które jest ministerstwem biurokratyczno-liberalnem, jakiego jeszcze w Austrji nie było. *Deutsches Volksblatt* zaznacza, że w dzisiejszych austrjackich stosunkach przecież nie było możliwem inne ministerjum, jak z łona o sto lat w tyle po za postępem politycznego żysia stojącej biurokracji austrjackiej, „która wprawdzie w niedzielę chodzi do kościoła, ale w powszednie dni jest *stockliberal*".

P. Wittek (wedle *Deutsches Volksblattu*) został kierownikiem gabinetu wbrew własnej woli i przypisuje tę polityczną kombinację Taussigowi, prezydentowi od *Staatseisenbahngesellschaft* i wiceprezesowi od *Nordwestbahn*, któremu p. Wittek jako fachowy znawca kolejnictwa, przeszkadzał w jego pierwszych sztuczkach, tak pomyślnie prowadzonych za ministerstwa Guttenberga i Wurmbranda, którzy nie rozumieli się nic na rzeczy. *Deutsches Volksblatt* wyraża obawę, że §. 14 wejdzie teraz w życie na czas dłuższy, niżby się kto mógł tego spodziewać.

Wiedeń 22 grudnia. *Dymisja gabinetu hrabiego Clary ma być ogłoszona w „Wiener Zeitung" w sobotę rano. Równocześnie ma być zamianowany gabinet Witteka.*

W gabinecie Witteka, prócz Witteka, Welsersheimba i Chłędowskiego, jak zapewniają dzienniki, nie będzie ani jednego ministra. Wszystkie inne teki będą powierzone wymienionym już poprzednio urzędnikom, którzy przy zachowaniu swoich dotychczasowych urzędów, nosić będą tytuł „kierowników ministerstw".

Wiedeń 22 grudnia. Minister kolei żelaznej Wittek przyjmowany był w piątek przed południem na dłuższej audjencji przez cesarza.

Sejmy krajowe.

Wiedeń 22 grudnia. *Wobec ogłoszenia w „Wiener Zeitung", która wyszła w piątek z rana, zwołania Sejmów krajowych przez patent cesarski, kontrasygnowany podpisami gabinetu hr. Clary, pierwsze posiedzenie Sejmu galicyjskiego odbędzie się w piątek dnia 29 grudnia b. r.*

Równocześnie z Sejmem galicyjskim rozpocznie obrady w tym samym dniu i Sejm czeski.

Niemieccy posłowie postępowi Sejmu czeskiego zwołali naradę do Pragi na dzień 28 grudnia. Niemieccy posłowie ludowi Sejmu czeskiego zwołali naradę do Pragi na dzień 29 grudnia. Przedmiotem narad ma być roztrząśnięcie pytania, czy należy wziąć udział w posiedzeniach czeskiego Sejmu, czy też dalej prowadzić politykę abstynencyjną.

Sejm węgierski.

Budapeszt 22 grudnia. Sejm odbył w piątek ostatnie posiedzenie przed świętami Bożego Narodzenia. Na wniosek prezesa ministrów Kolomana Szella ferje sejmowe trwać mają do 18 stycznia 1900 r.

Na pierwszem przyszłorocznem posiedzeniu załatwiony będzie projekt o przedłużeniu ustawy wojskowej, oraz sprawa uchwalenia kontyngensu rekrutów, poczem Izba przystąpi do dyskusji budżetowej.

Komisja finansowa ma się zgromadzić już w pierwszych tygodniach stycznia, aby obradować nad budżetem.

Wybór posła w Tarnowskiem.

Tarnów 22 grudnia. Przy dzisiejszych wyborach posła na Sejm z okręgu tarnowskiej większej własności wybrany został posłem p. Stefan Sękowski z Wojsławia, prezes Rady powiatowej w Mielcu. Sękowski otrzymał głosów 63, zaś baron Jan Konopka z Brnia głosów 30, na 93 głosujących.

Rada kolejowa.

Lwów 22 grudnia. W piątek odbyło się posiedzenie Rady kolejowej. Przewodniczył zastępca marszałka krajowego Chamiec.

Po przyjęciu do wiadomości protokołu z ostatniej sesji, przeprowadzono bardzo ożywioną dyskusję w sprawie zwołania ankiety dla sprawy taryf, oraz organizacji oddziałów taryfowych przy biurze kolejowem.

Radca Struszkiewicz doradzał, aby Wydział krajowy zwołał w jak najkrótszym czasie fachowców, oraz przedstawicieli interesowanych w sprawie taryf na drzewo, naftę i cukier, ze względu na postęp akcji około kolei niższorzędnych.

Radca Struszkiewicz zapytuje dalej, w jakiem stadjum znajduje się budowa kolei Przeworsk-Batów. Radca Chamiec odpowiada, że obecnie prowadzą się prace około wytyczenia tej trasy.

Radca Struszkiewicz interpeluje w sprawie obrachunku z przedsiębiorstwem budowy kolei Trzebinia-Skawce.

Następnie przemawiali Seferowicz, Struszkiewicz, Leo i Kolischer w sprawie zmian w rozkładzie kolei Chabówka-Zakopane. Mowcy żądali także ułatwień dla ruchu osobowego.

Ofiara militaryzmu.

Stanisławów 22 grudnia. Przy strzelaniu do tarczy zastrzelony tu został w piątek z karabinu nieszczęśliwym przypadkiem porucznik artylerji, Halsmajer.

Zgon literatki.

Lwów 22 grudnia. Zmarła tutaj Janina Sedlaczkówna, literatka, była redaktorka pisma dla kobiet p. t. *Przedświt*. S. p. Sedlaczkówna pisywała pod pseudonimem Janiny Aleksota. Była nauczycielką w szkole Benedyktynek.

Zabiegi Anglji w Petersburgu.

Petersburg 22 grudnia. We środę bawił na posłuchaniu u cara Mikołaja angielski ambasador w Petersburgu Scott. Audjencję tę, która miała za cel omówienie wojny Anglji w Transwaalu, poprzedziła długa wymiana depesz pomiędzy Petersburgiem a Londynem. Otóż, jak zapewniają z autentycznych źródeł, ubiegała się Anglja w szeregu wspomnianych telegramów o interwencję cara Mikołaja w sporze jej z Transwaalem i miała, jak utrzymują, otrzymać niezupełnie odmowną odpowiedź.

Przyczyna, która skłoniła Anglję do rozpoczęcia tych kroków, leży chyba w niepowodzeniu oręża jej w południowej Afryce, a prawdopodobnie w obawie przed Rosją w Indjach, które Anglicy ogołocili z wojska, wysyłając stamtąd posiłki do Transwaalu. Jak wiadomo, Rosja nie kryje się z tem bynajmniej, że miałaby ochotę na niektóre posiadłości Anglji w Indjach. Anglja tedy miała otrzymać dziś uspokajającą odpowiedź w tej kwestji, i car dla poparcia słów swoich miał powołać się na swoje dzieło pokojowe w Hadze.

Ze względu na nie oświadczył on również gotowość pośredniczenia pomiędzy Anglją a Transwaalem, w każdym razie jednak z tem zastrzeżeniem, że W. Brytanja odstąpi od wszystkich swoich roszczeń wobec Transwaalu i ograniczy się jedynie do uwzględnienia państwowo-prawnych stosunków, które pomiędzy nią a Rzecząpospolitą Transwaalską istniały przed rozpoczęciem wzajemnych kroków wojennych.

Ostatnia zima wieku.

Noworosyjsk 22 grudnia. Na morzu Czarnem panuje niepojęty orkan. W mieście orkan ten zrywa dachy domów, rzuca na ulice gzymsy, niszczy druty telegrafu i telefonu.

Domki strażnicze wzdłuż linji kolejowej są uszkodzone. Szyldy odrywane są gwałtownie wichrem i zrzucane na ulice.

Statki w porcie ogromnie cierpią. Latarnie morskie nie funkcjonują.

Dwa statki: angielski i grecki zamknięte są w przystani krą. Jeden statek angielski rozbił się na morzu.

W mieście wskutek orkanu pożary, które się nagle wszczęły, poczyniły wielkie szkody.

Bora w Tryjeście.

Tryjest 22 grudnia. Od kilku dni srożący się tu wiatr północny jest tak gwałtowny, że udaremnia jakąkolwiek pracę w porcie. Wskutek tego niepodobna przedsięwziąć ładowania okrętów, które nadeszły tu z Aleksandrji, Brazylji, Kalkuty, Bombayu i Japonji, a z powodu natłoku w porcie, nie mają te statki miejsca do zarzucenia kotwicy.

Dyrekcja Lloyda postanowiła własnymi dwoma statkami wysłać do Indji, Chin i Japonji te towary, które miały odejść na statkach stamtąd przybyłych, a wskutek bory po za przystanią zatrzymanych.

Proces spiskowców.

Paryż 22 grudnia. Najwyższy trybunał przesłuchiwał bez wypadku kilku świadków w sprawie twierdzy Chabrol; zapewniali oni, że Guérin strzelał do ajentów policyjnych ślepymi nabojami. Inni świadkowie zeznają, że Dubuc jest zagorzałym republikaninem i tem samem nie mógł spiskować wespół z rojalistami.

Następnie przesłuchiwał jeszcze trybunał kilku świadków, przez Bruneta cytowanych, poczem posiedzenie zamknięto.

Budżet hiszpański.

Madryt 22 grudnia. Izba w Madrycie uchwaliła tak długo utrzymać w mocy budżet na rok 1899, dopóki nie nastąpi definitywne uchwalenie budżetu na rok 1900.

Haracz turecki.

Konstantynopol 22 grudnia. Porta turecka zawiadomiła rząd rosyjski, że reszta haraczu w wysokości 170.000 funtów szterlingów, należna za wojnę rosyjską, wypłacona zostanie do dnia 13 stycznia 1900 roku.

Stosunki w Turcji.

Konstantynopol 22 grudnia. Z powodu imienin cesarza Rosji i rocznicy urodzin sułtana, wymienili suwereni serdeczne depesze.

Sułtan wysłał poufnie do Francji Üsküdarli Safi beja z poleceniem, aby Damad Mahmuda paszę skłonić do powrotu.

Konstantynopol 22 grudnia. Porta zawiązała rokowania z dyrektorem niemieckiego banku von Siemensem o pożyczkę 200.000 funtów tureckich.

Filipopol 22 grudnia. Według doniesień z Konstantynopola, skazany został jenerał Mehmod, członek wojskowej komisji inspekcyjnej na wygnanie do Mityleny.

Wojna w Afryce Południowej.

Londyn 22 grudnia. Admiralicja uchwaliła wysłać 700 ludzi do Południowej Afryki dla wzmocnienia służby marynarskiej na statkach, krążących dokoła przylądka Dobrej Nadziei.

Poranne dzienniki londyńskie ogłaszają autentyczną już listę poległych i rannych, oraz wziętych do niewoli Anglików podczas klęski Bullera nad rzeką Tugelą. Buller stracił 1100 ludzi.

NA WIGILJĘ.

NOWELKA

przez

Artura Ćwikowskiego.

Zimowy dzień miał się już ku schyłkowi. Wielkie, złote słońce stoczyło się za wzgórza, pokryte śniegiem, i z chwilą, kiedy zaszło — zmrok począł następować coraz większy... Czas jakiś pola, białą pokryte powłoką, malowały się blado-żółtem światłem i niebo jasne, błękitne, ale przeraźliwie zimne, nasycone było promieniami słońca. Na widnokręgu ukazały się sine tęcze, które zwolna poczęły szarzeć..., majaczeć..., wreszcie zlały się z resztą nieba w jeden kolor niebieski.

W ową chwilę przed wiejską chatą stał młody człowiek. Ubrany był jak do długiej podróży. Z progu zaś niewiasta mówiła coś do niego, on słuchał jej ciekawie, ale chwilami wzrok od niej odrywał i spoglądał po niebie. Spieszno mu snać było wyjść, zwłaszcza, że noc w zimie nastaje wkrótce po zachodzie słońca.

Kobieta mówiła:

— Prostą drogą będzie ze trzy mile, bliższe zasypało, to i moglibyście zbłądzić, bo nie znacie okolicy. Może gdzie nadybiecie ludzi, to się przysiądziecie.

— Bóg wam zapłać... Już idę...

— Ostańcie z Bogiem! — odpowiedziała z progu i kiedy on ruszył ku furtce, ona stała czas jakiś, potem ręce zatarła i wróciła do izby.

Bo też było zimno. Śnieg zamarzł tak, że można było po nim chodzić bez narażenia, iż się wpadnie. Niebo było jasne i przejrzyste, jak kryształ i ono to zdawało się tchnąć tym bezlitosnym chłodem. Od czasu do czasu podrywał się wiatr i szedł przez pola... Wtedy wierzby przydrożne chwiały się, ale śnieg, który do nich przymarzł, nie opadał. Mogło się zdawać, że i te nagie, odarte z wszelkich liści drzewa, drżą wtedy z zimna.

Podróżny atoli nie zważał na mróz. Twarz miała wyraz zadowolenia, oczy z pod wielkiej czapki patrzały ciekawie i bystro na świat. Szedł spiesznie; przed nim ciągnęła się droga, pusta, jak okiem sięgnąć, gładka i utarta... Zrazu napotykał tu i ówdzie rozsiane wśród pól chatki, z których szare dymy unosiły się prostymi słupami w górę.

— Będzie pogoda — myślał sobie.

Ale gdy wieś minął, nie było już nic... Pola ciche, jakby uśpione, wśród nich gdzieniegdzie kępki drzew, ni to pomniki zamarłego istnienia. Patrząc na nie, pojąć się nie może, jak tu kiedyś szumiały łany i wrzało życie w całej pełni. Ta natura wydaje się nieżywą od wieków, martwą i chłodną, tak zawsze, jak jest teraz.

On ani o tem myślał. Jeżeli patrzał na niebo, to po to, aby się przekonać, czy nie jest późno. Szedł krokiem żwawym, by nie zziębnąć, a iść mu było niewygodnie, gdyż na sobie miał skórzany kubrak i na nim ciężki płaszcz.

Zdawało się, że ucieka przed wieczorem, który szedł za nim i ogarnął go wkrótce. Niebo przybrało stalowy blask..., błękit zasnuł się cieniem, z którego wyglądały srebrne oczka gwiazd. Nareszcie w samym środku nieba począł się światłem wypełniać blady krążek miesiąca, zrazu oblewał drogę niepewnym blaskiem, potem coraz silniejszym, aż wreszcie, gdy zupełnie wieczór zapadł, całym zdrojem światłości oświetlił okolicę.

On szedł. Obok niego posuwał się własny cień, kładąc się w poprzek drogi i idąc nietylko nią, ale rowami i polem. Był sam. Wracał z zagranicy na święta do domu. Gdyby nie egzaminy, przybyłby wcześniej, a nie dopiero teraz, dzień przed Wigilją. Pół roku nie być w domu rodzinnym, to przecież dość czasu, by się natęsknić, i dość powodów, by się cieszyć powrotem. — Sanek we wsi dostać nie mógł, bo nikt pod noc jechać nie chciał do odległej o pół czwartej mili stacji kolejowej... A jemu spieszyło się ogromnie: gdyby na noc był w Zarwanej, po północy mógłby stanąć w domu. Był młody i silny... Pół czwartej mili odbędzie w pięć godzin... Zziębnie, bo zziębnie, ale jeszcze tejże nocy uściska rodzinę.

I na myśl o tem ogarnęła mu serce jakaś ogromna radość. Nie czuł zimna; mróz, który palił, jego nie dotykał, otoczył się myślami o domu ojcowskim i one grzały mu nietylko serce, ale i całe ciało.

Począł myśleć: Tam się dużo musiało zmienić... Parkany są pewnie nowe w ogrodzie, bo, gdy wyjeżdżał, zaczęto je stawiać... Siostry już podrosły i poważniej wyglądają... Zosia, która przedtem lubiła się śmiać zawsze i pieścić z nim, jak dziecko, teraz pewnie, gdy wróciła z pensji, udawać będzie dorosłą pannę... A Marynia?... Ona go tak kocha... Gdy nieraz rano zaspał, ona zawsze przynosiła mu kawę do łóżka... Gdy natrząśnięto jabłek, a jego przy tem nie było, najpiękniejsze wybierała i chowała dla niego. Jakie to kochane, jakie dobre...

I objęło go rozrzewnienie. Chciałby już być przy nich i zacałować te kochane twarzyczki. Pobudzić je w nocy, czy nie — ach, one się same pobudzą. Przybiegną bosemi nóżkami do niego i nuż przypatrywać się, oglądać i pytać... A gdy im jeszcze pokaże, co przyniósł na podarki wigilijne, to wtedy chyba nie będą chciały już usnąć do rana. I dopiero, gdy minie pierwsza chwila radości, odezwie się ojciec poważnie:

— Spać, dzieci, bo jutro się dosyć nakrzątacie.

On pewnie wzruszenia wielkiego nie pokaże po sobie. Ucałuje syna w czoło i powie:

— No, odpoczniesz sobie trochę w domu? Jakże ci tam było?

A gdy on będzie opowiadał, poważne oczy ojcowskie będą tkwiły w jego twarzy. Potem przejdzie się kilka razy pokoju, przyglądnie się mu jeszcze i rzeknie:

— A teraz idź spać do swego pokoju, jutro, co masz ciekawego, to powiesz...

Jak ten ojciec go kocha! Przy nim wydaje się obojętny, by nie naruszyć swej powagi, kochany! Przecież syn może wiedzieć, że onby wszystko dla niego oddał. Gdy przed dwoma laty zachorował, kilka nocy bezsennych przy jego łóżku spędził, a gdy już przychodził do zdrowia, pamięta, jak ojciec klęczał przed obrazem i modlił się gorąco. Myślał, że syn śpi, on nie spał, ale widział modlitwę ojca, ujrzał tę jego miłość, z jaką o zdrowie dla niego prosi i pomyślał, że chyba na całym świecie nie znalazłby skarbu, którymby mógł za nią zapłacić.

Matki nie ma... Przed pięciu laty umarła, modli się tylko czasem za nią i do niej... W pamięci został mu tylko jej świetlany obraz, jej postać, pełna wdzięku i nieopisanego uroku, ale zasnuta, jakby jaką mgłą, przez którą ją widzi.

Ma małego, sześcioletniego brata, Adasia. Dowodzi nieraz całym domem, bo ojciec go za bardzo kocha... Bywało, że Marynia przychodzi Stasiowi poskarżyć się na małego, że zebrał cały korzuszek ze śmietanki, lub z upieczonego placka powyjmował połowę rodzynków... Cóż mu zrobią?...

Wtedy Staś wołał go do siebie. Przychodził ze spuszczoną smutnie twarzyczką, z niepewną minką. Wyglądał wtedy jak cherubinek, bo włoski nosił długie. Jak tu karać takiego? Marynię wszystek gniew opuścił zaraz, ale Staś udaje sędziego i pyta łagodnie:

— Tyś zebrał kożuszek?

Milczy, jeno oczkami mruga, bo mu się chce płakać.

— I jakąż będziemy teraz kawę pili?

Znowu milczenie. Przerywa Marynia:

— Przyniesie się świeżą śmietankę, a ta będzie do ciasta.

— Czemu ty tak dokuczasz siostrom? — mówi Staś. — Jakże one będą cię kochały, kiedyś taki niegrzeczny?

Adaś nie odpowiada nic, jeno oczami mruga coraz silniej i prędzej. Bratu już żal malca. Trzeba zrobić koniec egzekucji.

— Pamiętaj, żeby to było ostatni raz! Przyrzekniesz mi?

Chłopiec byłby zniósł spokojnie jaką karę, ale tej łagodności znieść nie umie. On przecie zasłużył, czuje to dobrze, więc czemu oni mu za to nic nie zrobią? Wybucha płaczem, a wtedy Marynia przybiega i poczyna całować i ocierać łezki, szepcąc:

— Nie płacz już, ja wiem, że ty tego więcej już nie zrobisz!

I nie maż być Adaś samodzierżcą w domu?

On to wszystko sobie przypomina. Przed oczy nasuwają mu się coraz nowe obrazy... Każdy poi go bezmiarem szczęścia i radości. Przecie on do nich idzie, do tych kochanych i drogich, idzie przytulić się do serc, które jedynie na świecie dobrze mu życzą... Jutro Wigilja... W domu teraz ruch i krzątanina... Jak on to lubi, ten czas przedświąteczny, bo on mu przywodzi tysiące wspomnień z lat minionych. Idzie od ludzi obcych do swoich, do kochających, którzyby mu wszystko szczęście dać chcieli. Za co go oni tak kochają — czy on taki dobry, czy bardzo wart tego?

I rwie mu się serce coraz bardziej... Na skrzydłach marzenia leci przez te pola... widzi dworek otoczony drzewami i aleją do ganku wiodącą. Zajeżdża... I nikt się go w nocy nie spodziewa... wchodzi na ganek i do drzwi stuka. Cisza wszędzie... Serce bije mu tak mocno, że go aż boli... Słyszy kroki w sieni i głos starej Kunegundy zaspany i gniewny?

— Kto tam?

— Otwórz Kundziu, to ja...

Poznaje go po głosie natychmiast i gorączkowo klucz wkłada do zamku.

— Jezus, Marja! to pan Stanisław! na takie zimno! w nocy! A my myśleli, że dopiero jutro... byłoby się sanki wysłało...

— Wziąłem sanki ze stacji.

— Trzeba pana zbudzić... panienki...

— Nie trzeba... pościel mi łóżko, pójdę spać...

— Ale, cóż znowu — oburza się.

Nie da mu więcej mówić, lecz spieszy do panienek. On stoi w pokoju cichym i ciepłym. Świeca pali się na stoliku... Wzruszony jest ogromnie... Jak oni wyglądają po półrocznem niewidzeniu? Ogląda pokój cały. Wszystko prawie tak jak było...

Wchodzi Kunegunda:

— Niech panicz idzie do pokoju starszego pana...

Przechodzi dwa pokoje i jest na miejscu; „starszy pan“ podnosi się ku niemu, on się pochyla do jego rąk.

Ale w tejże chwili wbiegają siostrzyczki. Obie, poznać, że ze snu zbudzone. Narzuciły tylko nocne kaftaniki i halki, zresztą bose i z rozpuszczonymi włosami.

— Staś przyjechał!...

On spogląda na nie z ogromną miłością, potem poczyna witać. Przyciska do piersi te ciepłe bijące serduszka... Pierś napełnia mu się jakąś niezmierną słodyczą... Ciepło ich rączek i usteczek działa na niego tak, jak ta cała miłość. I zwolna owiewa go cisza i pogoda całego domu, zwolna dostraja się jego dusza do tej łagodnej harmonji i wtedy czuje, że on jest czemś nieodłącznem od niej, że należy duszą i ciałem do tego domu i do tych ludzi.

Idzie drogą i marzy... marzy... Nie wie już, wiele uszedł... widzi tylko, że noc już na dobre zaszła. Na niebie cichem i wyjaśnionem gwiazd mało, księżyc jeno zimny i szklący, jak tafla lodu, pełnemi zdrojami blasków zalewa pola... Cicho i pusto... Śniegi świecą i zamarzłe gdzieniegdzie sadzonki błyszczą wśród niw. Okolica cała po najdalsze końce widna jak na dłoni.

On nie zna tych miejsc. Ojciec przed pół rokiem kupił tu folwark, a on był raz tylko... Co mu o to! Byle do stacji się dostać... Czuje się nieco znużonym. Gdyby gdzie jaka chata... kazałby sobie dać co ciepłego... ale nie — naokół śniegi i śniegi... musiał już zrobić milę drogi... Bocznemi ścieżkami bliżej, ale te zasypane. A możeby spróbował — nie sposób iść długo na takim mrozie.

Rzeczywiście, mróz okropny. Wiatr wieje bezustannie, piekący, ostry wiatr. W powietrzu przesyconem światłem i mrozem, zda się czuć i słyszeć jakieś syczenie... Para wydychana marznie mu na ubraniu. Co za zima! On ogromnie lubił takie mrozy; ale dobrze mu było ich oczekiwać, kiedy siedział w ciepłym pokoju, a gdy wyszedł, to na półgodziny w miasto. A tu iść przez pola głuche, jakby zamarłe!

Jutro wigilja... powtarza sobie jak dziecię te słowa w myśli, bo się cieszy. W dzień ten budził się zwykle wczas, choć jeszcze noc była, bo w domu ruch się wszczynał. Siostry już były zajęte — poczciwe te siostrzyczki — starały się, by wszystko było jak najlepiej upieczone i ugotowane. A co się natrudziły!

On zaś leżał w łóżku i rozkoszował się ciepłem i spokojem. Napół spał i nie spał... Otwarły się drzwi — weszła Zośka na palcuszkach, by go nie zbudzić.

— Ja nie śpię Zosiu...

— Nie spisz — czemuś się tak wczas obudził?

— A ty czemu?

Ona wtedy podchodziła do niego i pokazywała mu rączki, ubielone mąką, z dumą i radością gosposi. On zaś, patrząc na jej zarumienioną twarzyczkę i jasne błyszczące oczy, mówił:

— Dajże mi buzi na dzień dobry.

— Kiedy jeszcze noc — odparła z uśmiechem, ale nachyliła się nad nim i przytuliła twarz swą do jego twarzy z wielką tkliwością. Potem otulała go kołdrą, aż po szyję i odchodziła mówiąc:

— A teraz śpij, dziecko, bo jak nie będziesz spał, to ci nie upiekę bułki do kawy.

On zamykał oczy i spał rzeczywiście.

To wszystko było nieraz i teraz zdaje mu się, że wraca. Słyszy jej głos kochany, czuje tę ciszę, tę pogodę i upajającą bezwładność, w jaką go sen kołysze. Co za marzenie! Zapomniał o tem, że idzie wciąż naprzód, a utonął w snach... One mają jakieś rzeczywiste, niemal dotykalne istnienie... Jak anioły otoczyły mu skronie i lecą z nim... słyszy szelest tych piór... Wszystko pyta go i mówi do niego, widzi przed sobą te umiłowane twarze... Marzenia łączą się w jakieś jednostajne nieprzerwane pasmo, w jakąś cudowną kanwę i oszołomiają go, jak wino... Kocha ogromnie ten dom rodzinny, te wszystkie wspomnienia, jakie się z nim wiążą... bez nich on byłby obcy i daleki... Wspomnienia chodzą mu po głowie, po sercu; uczucia rozpierają mu pierś, a nad niemi wszystkiemi unosi się bezkreśnie słodka pogoda i ciepło... Nie widzi nic już, nic... Tam mu dusza uleciała... tam się zapatrzyły oczy i zasłuchały uszy... Wyciąga ręce do nich i — otrząsa się.

Jest sam... Palce mu kostnieją od zimna. Ogląda się wokół — niema nic. Naraz gdzieś daleko słyszy szum i świst przeciągły: To pociąg pędzi na stację... Wytęża oczy, ale nie może widzieć; wie tylko, że to jest po prawej stronie.

„Tamtędy idzie tor kolejowy“ — pomyślał.

Idzie znowu czas jakiś. Droga rodziela się na dwie: jedna, nieco wyginając się, obraca się w lewo, druga w prawo. Którą iść?

(Dok. nast.)

Nakładem ks. Leona Dżułyńskiego w Przemyślu, wyszła aprobowana przez duchowną Władzę,

Biblia starego i nowego zakonu

w 50 kolorowych obrazach na kartonach,

w pięknej kasetce dogodnego książkowego formatu i z objaśnieniami na odwrotnej stronie

Najodpowiedniejszy okolicznościowy podarek dla rodzin chrześcijańskich.

Cena egzemplarza 3 korony.

Zamówienia z prowincji tylko pod adresem: *Ksiądz Leon Dżułyński* w Przemyślu, ul. Długa L. 14.

Wszystkie księgarnie. 4044

Dr Nieć, Franicević i Pavicić

w Krakowie, Rynek Nr. 25

przy nadchodzących Świętach

POLECAJĄ 3858 8 0

Wina Wyspiańskie

znane z dobroci tak białe jak i czerwone

poczynając od złr. 1·60 za garniec.

Rum Jamajka Oryginalny

od najniższych cen.

WINA SZAMPAŃSKIE i KONIAKI

pierwszorzędnych marek węgierskich.

Śliwowicę Syrmierską i słynną Bośniacką

oraz

HERBATĘ ORYGINALNĄ CHIŃSKĄ i karawanową Rosyjską.

WYŁĄCZNA SPRZEDAŻ:

u E. Dymnickiej w Krakowie ulica Zwierzyniecka,
„ F. Jarosika „ „ Karmelicka,
„ A. L. Jordens i W. Zips w Podgórzu ul. Kalwaryjska 6,
„ K. Hanlewskiego we Frysztaku,
w Towarzystwie Handlowo-Przemysłowem w Tarnobrzegu.

Wysyłka na prowincję tranzyto. — Cenniki bezpłatnie.

Największe Bióro Pośrednictwa w Niemczech

szuka na wiosnę 1900 r.

2000 Robotników do rolnictwa

za dobrą zapłatą. Obszerne, w języku niemieckim pisane oferty, z podaniem kosztów od osoby do Mysłowic — zechcą strony interesowane przesyłać pod adr.: **G. W. 227** do Działu inseratowego „Głosu Narodu“ Kraków. 3958 2 3



Wskutek uchwały Wydziału wierzycieli masy konkursowej Bernarda Kornbluma, rozpisuje się w drodze ofert pisemnych

Sprzedaż dwóch realności

do tejże masy należących, a mianowicie:

1) realności w Krakowie, przy ul. Radziwiłłowskiej pod L. 5 położonej;

2) realności w Krakowie, przy ul. Bernardyńskiej pod L. 8 położonej;

Oferty mogą być wniesione także na każdą realność z osobna.

Oferty pisemne należy wnieść najdalej do **15 Stycznia 1900 r.** włącznie na ręce D-ra Ludwika Szalaya, adwokata krajowego w Krakowie, zarządcy masy konkursowej Bernarda Kornbluma. Do oferty należy dołączyć, tytułem wadjum, 5% ofiarowanej ceny kupna. Oferty bez wadjum nie będą uwzględnione. Przyjęcie lub odrzucenie wniesionych ofert zależeć będzie od Wydziału, a odnośna decyzja nastąpi najdalej do 15 Lutego 1900 r. 4054 1 5

Bliższych wyjaśnień udzieli **Kancelarja adw. Dra Ludwika Szalaya w Krakowie, ul. św. Jana l. 3.**

M. BEYERA i Spółki

W KRAKOWIE,

Sukiennice Nr. 12, 13, 14 (naprzeciw kościoła Najśw. P. Maryi)

WIELKI ZAKŁAD

Wyrobu gotowej Bielizny i Wypraw ślubnych.

SKŁAD FABRYCZNY TOWARÓW PŁÓCIENNYCH: 39 0 3 0

Bielizna męzka, damska i dziecinna w różnych gatunkach i wielkości

sprzedaje po następnych cenach:

BIELIZNA DAMSKA.

Koszule dzienne shirtingowe pojed. 1.00—1.75
Koszule dzienne shirtingowe ubierane haftem — — — — — 1.75—2.50
Koszule dzienne shirtingowe ubierane haftami ręcznemi — — — 2.00—2.75
Koszule dzienne płócienne ubierane haftami — — — — — — 2·50—4.00
Koszule dzienne płócienne ubierane haftami ręcznemi — — — — 2.50—6.00
Koszule dzienne batystowe kolorowe ubierane koronkami — — — 3.75—4·50
Koszule dzienne batystowe i płócienne bardzo strojnie ubierane koronkami i haftami — — — — 6.00—7.50
Koszule dzienne jedwabne — — 10.00-15.00
Koszule nocne shirtingowe ubierane haftami — — — — — — 2.00—3.50
Koszule nocne shirtingowe bardzo strojnie ubierane haftami i koronk. 4.50—6.00
Koszule nocne płócienne pojedyncze 3.00—3.50
Koszule nocne płócienne ubierane haftami — — — — — — 4.50—6.00
Koszule nocne b. strojne płócienne i batystowe ubierane haft. i koronk. 6.00—10.00
Koszule nocne batystowe kolorowe ubierane haftami i koronkami — 6.00—7.50
Majtki damskie shirtingowe z haftami — — — 1.00. 1.60. 2.00—2.75
Majtki damskie batystowe białe — 3.50—6.00
Majtki damskie batystowe kolorowe 3.50—4.50
Majtki damskie barchanowe — — 1.60—2.75
Majtki damskie flanelowe — — — 3.00—5.00
Kaftaniki ranne damskie pojedyncze 1.00—1.75
Kaftaniki ranne damskie ubierane haft. 2.50—3.25
Kaftaniki ranne damskie b. strojne 4.50—6.00
Kaftaniki ranne damskie batystowe ubierane koronkami i haftami — 7.50—12.00
Spodnice damskie pojedyncze — — 1.80—2.50
Spodnice damskie z haftow. wstawką 2.75—3.75
Spodnice damskie z haftowanemi falbanami — — — — — — 3.50—6.00
Spodnice damskie batystowe ubierane haftami i koronkami — — 7·50—15.00
Halki kretonowe kolorowe, sztuka — 1.25—2.50
Halki satynowe kolorowe, sztuka — 2.50—5.50
Halki wełniane kolorowe, sztuka — 3.00—6.00
Halki jedwabne kolorowe, sztuka — 10.00-15.00
Chustki webowe białe, tuzin — — 2.50—6.00
Chustki webowe kolorowe, tuzin — 2.75—7.50
Chustki batystowe białe, tuzin — 4.00—12.00
Chustki batystowe kolorowe, tuzin — 4.00—12.00
Pończochy białe bawełniane, tuzin 6.00—10.00
Pończochy kolorowe bawełniane, tuzin 7.00—12.00
Pończochy niciane, tuzin — — — 10.00-18.00
Pończochy jedwabne, para — — 2.50—4.00
Gorsety damskie, sztuka — — — 2.25—6.00

BIELIZNA MĘZKA.

Koszule męzkie shirtingowe dzienne, szt. od złr. 1, 1.25, 1.50, 1.75, 2. 2.50—2.75
Koszule męzkie płócienne 2.75, 3.00, 3.50 — — — — — — — 4.00—5.00
Koszule męzkie shirtingowe nocne 1.50. 2.00—2.50
Koszule męzkie shirtingowe nocne z kolorowemi ręcznemi haftami — 2.75—4.00
Kalesony białe bawełniane — 1.00—1.50
Kalesony kolorowe — — 1.40—1.75
Kalesony płócienne białe — — — 1.75—2.50
Skarpetki białe bawełniane tuzin — 5.00—7.00
Skarpetki kolorowe bawełniane, tuzin 5.50—10.00
Skarpetki białe niciane, tuzin — 7.50—12.00
Skarpetki kolorowe niciane, tuzin — 8.50—15.00
Skarpetki jedwabne, para — — — 3.00—5.00
Chustki płócienne białe, tuzin — — 2.50—6.00
Chustki płócienne kolorowe, tuzin — 3.75—8.00
Koszule flanelowe — — — — 1.25—6.00
Kołnierze shirtingowe, tuzin — — — 2.40
Kołnierze webowe, tuzin — — — — 4.00
Mankiety shirtingowe, tuzin — — — 4.00
Mankiety płócienne, tuzin — — — 6.50

Wielki wybór krawatów jedwabnych i batystowych. — Główny skład bielizny normalnej trykotowej Prof. Dra Gustawa Jaegera. — Kaftaniki zdrowia, Crêpe de Saute jedwabne, bawełniane i siatkowe. — Parasole od deszczu i słońca. — Szelki, spinki i paski do koszul flanelowych.

BIELIZNA DZIECINNA.

Koszulki dla panienek

Lat	dzienne gładkie	dzienne haftewane	nocne shirtingowe
2	Sztuka zła. —·65	Sztuka zła. 1·—	
4	„ „ —·75	„ „ 1·10	Sztuka zła. 1·25
6	„ „ —·85	„ „ 1·20	„ „ 1·35
8	„ „ —·90	„ „ 1·35	„ „ 1·50
10	„ „ 1·—	„ „ 1·40	„ „ 1·65
12	„ „ 1·05	„ „ 1·50	„ „ 1·85
14	„ „ 1·15	„ „ 1·60	„ „ 2·—
16	„ „ 1·35	„ „ 1·75	„ „ 2·25

Majteczki dla panienek

Lat	gładkie	haftowane	barchanowe gładkie	barchanowe haftowane
2	Sztuka zła. —·60	Sztuka zła. —·95	Sztuka zła. —·90	Sztuka zła. 1·10
4	„ „ —·70	„ „ 1·05	„ „ 1·—	„ „ 1·25
6	„ „ —·80	„ „ 1·15	„ „ 1·10	„ „ 1·40
8	„ „ —·85	„ „ 1·24	„ „ 1·15	„ „ 1·50
10	„ „ —·90	„ „ 1·35	„ „ 1·20	„ „ 1·75
12	„ „ 1·—	„ „ 1·50	„ „ 1·35	„ „ 1·85
14	„ „ 1·10	„ „ 1·65	„ „ 1·50	„ „ 1·95
16	„ „ 1·20	„ „ 1·75	„ „ 1·60	„ „ 2·10

Lat	Spódniczki dla panienek shirtingowe	Kaftaniki ranne dla panienek gładkie	Kaftaniki ranne dla panienek haftowane
2	Sztuka zła. —·60		
4	„ „ —·65	Sztuka zła. —·85	Sztuka zła. 1·—
6	„ „ —·75	„ „ —·90	„ „ 1·10
8	„ „ —·85	„ „ 1·—	„ „ 1·15
10	„ „ —·95	„ „ 1·05	„ „ 1·25
12	„ „ 1·—	„ „ 1·10	„ „ 1·35
14	„ „ 1·05	„ „ 1·25	„ „ 1·45
16	„ „ 1·10	„ „ 1·50	„ „ 1·60

Koszulki dla chłopców

Lat	dziecinne I.	dziecinne II.	nocne
4	Sztuka zła. 1·05	Sztuka zła. —·85	Sztuka zła. 1·30
6	„ „ 1·15	„ „ —·90	„ „ 1·40
8	„ „ 1·25	„ „ 1·—	„ „ 1·50
10	„ „ 1·40	„ „ 1·10	„ „ 1·60
12	„ „ 1·60	„ „ 1·20	„ „ 1·75
14	„ „ 1·75	„ „ 1·25	„ „ 1·85
16	„ „ 2·—	„ „ 1·50	„ „ 2·—

Kalesony dla chłopców

Lat	Cena
4	Sztuka . . . . . zła. —·65
6	„ . . . . . „ —·70
8	„ . . . . . „ —·75
10	„ . . . . . „ —·80
12	„ . . . . . „ —·90
14	„ . . . . . „ 1·—
16	„ . . . . . „ 1·10

Wielki wybór Pończoszek i Skarpetek dziecinnych

nicianych i bawełnianych, białych i kolorowych, oraz wszelkich wyrobów trykotowych dziecinnych.

Bielizna łóżkowa

płócienna, shirtingowa, gładka i ubierana ręcznemi i maszynowemi haftami oraz koronkami

w bardzo wielkim wyborze.

Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą.

KSIĘGARNIA

skład i największa wypożyczalnia nut muzycznych 4088

S. A. Krzyżanowskiego

w Krakowie — przyjmuje

Prenumeratę

na wszystkie czasopisma krajowe i zagraniczne,

wychodzące w językach: polskim, niemieckim, francuskim, angielskim i włoskim — zaręczając swoim Prenumeratorom za ścisłą i szybką ekspedycję takowych. Katalog na żądanie franco i gratis.

Pięknym i pożytecznym podarkiem na Gwiazdkę lub na Nowy Rok

może być

Księga złotych myśli

2 tomy, stron przeszło 1250, cena **4** złr. **50** ct.

Do nabycia we wszystkich księgarniach i u autora ks. St. J. w Bieńkówce p. Zembrzyce.

Autor dla młodzieży i mniej zamożnych daje książkę po zniżonej cenie. 4061 1 0

!!ZMIANA LOKALU!!

Niniejszem donoszę Szan. P. T. Publiczności, że **przeniosłam** 2435

Biuro Wyw. i Sług

na ul. **Mikołajską l. 13** parter *w Krakowie*, i polecam nadal **wszelaką doborową SŁUŻBĘ**, oraz **korzystne posady.**

*Z szac. **M. Broczkowska.***

Korzystny interes

Handel win, koniaków, oraz towarów kolonialnych i **trafika**, porządnie urządzony, z koncensami, — **do sprzedania.** Wiadomość ul. Bracka L. 12, w sklepie blacharskim. 3903

Młody Pomocnik

obznajomiony dobrze z bufetem, **znajdzie zaraz umieszczenie** w handlu korzennym i delikatesów

Webera & Postępskiego w Rzeszowie. 4060

Wilhelm Fenz

Kraków, Rynek, róg Szewskiej

poleca w wielkim wyborze

Zabawki, Lalki, Gry towarzyskie.
Skrzynki kotwiczne Richtera.
Motory i maszynki parowe.
Przepyszne przedmioty skórkowe.
Szkatułki drewniane piękne.
Perfumerye, Woda kolońska.
Dekoracye i ozdoby na drzewko. 4003 5 5

Wysyłka pocztowa odwrotnie.

Ceny niskie.

Już nadszedł świeży **transport** — tegorocznego zbioru 3900 3 6

Herbaty „Ceylon“

o czem na żądanie Szanownych moich Odbiorców zawiadamiam.

Andrzej Schultz

Kraków, Rynek gł., L. 32.

Telefon L. 16.

NAJWIEKSZY SKŁAD

zabawek

po możliwie niskich cenach, poleca

JAN KUHN

dawniej **Bruno Hahn**, Kraków ulica **Grodzka Nr. 2.** 4009

Wielkie Składy Win **Jakóba Piekły** w Podgórzu

Kantor: Rynek L. 2. Składy: Rynek L. 2. Gmach Sokołów i ul. Twardowskiego.

POLECA: 3657

WINA WŁOSKIE BIAŁE:

Nr. 1. Sausevero . . . 100 Litr. Złr. 28	Nr. 3. Vino bianco Etna 100 Litr. Złr. 40	Nr. 1. Wino Dalmatyńskie 100 Litr. Złr. 28	Nr. 3. Siracusa perła win 100 Litr. Złr. 40
Nr. 2. Partenico . . . „ „ „ 32	Nr. 4. „ Marsaleta . „ „ „ 50	Nr. 2. Barleta . . . „ „ „ 32	Nr. 4. Vino roso Chianti „ „ „ 50

WINA CZERWONE: (columns 3–4 above)

Wysyłki na prowincję począwszy od 4 litrów. — Kółkom Rolniczym znaczne ustępstwa.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Włodzimierz Lewicki. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.

Nadzwyczajny dodatek „Głosu Narodu“ do Nru 292.

Mianowanie gabinetu Witteka.

Sobotnie poranne depesze Biura korespondencyjnego przynoszą nam tekst ogłoszonych w *Wiener Ztg* pism odręcznych cesarskich, odnoszących się do dymisji hrabiego Clary i do zamianowania nowego ministerstwa urzędniczego pod prowizorycznem przewodnictwem dotychczasowego ministra kolei żelaznych dra Henryka Witteka.

Pierwsze z pism odręcznych brzmi: „Kochany hrabio Clary! Czuję się spowodowanym udzielić w łasce dymisji, o którą mnie prosiło moje ministerstwo królestw i krajów, reprezentowanych w Radzie państwa, i zawiadamiam Pana, że powierzyłem dotychczasowemu ministrowi kolei żelaznych drowi Henrykowi Wittekowi zadanie utworzenia nowego gabinetu. Wiedeń 21 grudnia 1899 r. *Franciszek Józef* m. p. *Clary* m. p.“

Pismo odręczne, wystosowane do hrabiego Clary z podziękowaniem za oddane usługi, brzmi:

„Kochany hrabio Clary! Wśród stosunków, które się ukształtowały, jako szczególniej trudne, idąc wiernie za mojem wezwaniem, stanąłeś Pan na czele mojego ministerstwa. W niewyczerpanej, pełnej ofiarności pracy starałeś się Pan zasmucający polityczny zamęt doprowadzić do pomyślnego rozwiązania. Niestety, nie udało się narazie doprowadzić do upragnionego celu. Udzielam Panu zatem w łasce, stosownie do Pańskiej prośby, uwolnienia z powierzonego Panu przewodnictwa w Radzie ministrów, oraz z urzędu ministra rolnictwa, stwierdzając Pańską okazaną mi gotowość. Wiedeń 22 grudnia. *Franciszek Józef* m. p.“

W wyrazach równie zaszczytnych zredagowane jest pismo do ustępującego ministra spraw wewnętrznych Körbera: „Kochany doktorze Körber! Udzielając panu na pańską prośbę w łasce uwolnienia ze stanowiska mojego ministra spraw wewnętrznych i zastrzegając sobie dalsze użycie pana w służbie, wypowiadam panu za pańskie znakomite usługi, wyświadczone mnie i państwu, z wiernem patrjotycznem oddaniem, zupełne uznanie i gorące podziękowanie *Franciszek Józef* m. p.

Pisma do ministra obrony krajowej i ministra dla Galicji są krótkie, zawierające dymisję „w łasce“, zato pismo do ustępującego ministra sprawiedliwości Kindingera zaznacza, że cesarz zastrzega sobie ponowne użycie jego usług i wyraża za oddane przez niego usługi uznanie i podziękowanie. Osobnych pism z dymisją do szefów sekcji Stibrala, Kniaziołuckiego i Hartla nie ma; jest tylko trzecie pismo do hr. Clary, zawiadamiające go o przyjęciu dymisji tych kierowników ministerstw i wyrażające im uznanie za oddane przez nich usługi.

Z kolei następują pisma do nowego ministerstwa. Pierwsze pismo do Witteka brzmi:

„Kochany drze Wittek! Mianuję pana ponownie moim ministrem kolei żelaznych i powierzam panu prowizorycznie kierownictwo w komitecie moich ministrów. Wiedeń 22 grudnia 1899. *Franciszek Józef* m. p., *Wittek* m. p.“

Drugie pismo do Witteka zawiera nominację zbiorową gabinetu. Zawiadamia ono krótko Witteka, że ministrem obrony krajowej pozostaje ponownie jenerał broni Zeno hr. Welsersheimb, a ministrem dla Galicji ponownie dr. Kazimierz Chłędowski. Nadto zawiadamia ono, że cesarz powierza: tajnemu radcy, szefowi sekcji Ferdynandowi Blumfeldowi, kierownictwo w ministerstwie rolnictwa; tajnemu radcy, szefowi sekcji Józefowi Stummerowi, kierownictwo w ministerstwie spraw wewnętrznych; tajnemu radcy, szefowi sekcji Adolfowi baronowi Jorkasch-Kochowi, kierownictwo w ministerstwie skarbu; szefowi sekcji dr. Franciszkowi Stibralowi ponownie kierownictwo w ministerstwie handlu; szefowi sekcji Alfredowi Berndowi kierownictwo w ministerstwie wyznań i oświaty.

Dwa ostatnie pisma zwrócone są do jen. Welsersheimba i dra Kazimierza Chłędowskiego i zawierają lakoniczną nominację, pierwszego z nich na ministra obrony krajowej, drugiego na „ministra“ bez wyszczególnionej teki.

Tak więc ministerstwo Witteka dla operowania w dalszym ciągu błogosławionym paragrafem czternastym konstytucji jest już u steru i taczka Austrji pchać się będzie dalej naprzód według dotychczasowego wypróbowanego biurokratyczno-centralistyczno-kapitulującego systemu.

Pierwszym czynem Witteka jest naturalnie odroczenie Rady państwa. W nieurzędowej części donosi sobotnia *Wiener Ztg*, że powołany do prowizorycznego kierownictwa w Radzie ministrów minister kolei żelaznych Wittek wystosował do prezydentów obu Izb Rady państwa pisma datowane w dniu 22 b. m., zawiadamiające ich, że z najwyższego polecenia Rada państwa zostaje odroczona.

KRONIKA.

Kraków, d. 23 grudnia.

Kalendarz kościelny. W sobotę Suchy dzień, Wigilja, Wiktorji, panny; jutro czwarta niedziela Adwentu, Adama i Ewy.

Kalendarz myśliwski. W grudniu wolno polować na: rogacze (samce sarn), zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, dropie i pardwy, na ptactwo wodne i błotne w ogólności. Dziki i lisy należy tępić.

Przez cały rok nie wolno polować i należy ochraniać: łanie, sarny (kozy), cielęta i spiczaki, tudzież samice głuszców i cietrzewi.

Przepisy te nie stosują się do polowań w zamkniętych zwierzyńcach.

Kalendarz rybacki. W grudniu ochraniać należy: łososia, oraz raka samca i samicę.

Repertuar teatru miejskiego.

W poniedziałek, dnia 25 b. m.: **„Kordjan“**, poemat dram. J. Słowackiego, ułożony na scenę, w 10 obr. (po raz 8)

We wtorek, dnia 26 b. m.. godz. 3: **„Tamten“**, sztuka w pięciu aktach Józefa Maskoffa (po raz 42). ceny zwykłe.

O godz. 7: **„Kościuszko pod Racławicami“**, obraz historyczny w 7 osłonach z muzyką, napisał A. W. Lasota (po raz 50).

W środę, dnia 27 b. m.: **„Józefina“**, sztuka w 4 aktach z prologiem H. Bahr'a (po raz 6).

We czwartek, dnia 28 b. m.: **Zaczarowane Koło“**, baśń dram. w 5 aktach L. Rydla, ilustr. F. Szopskiego (po raz 25).

Następny numer „Głosu Narodu“ wyjdzie po świętach Bożego Narodzenia we środę o godz. 2 po południu.

Sufraganja krakowska. Jeden z dzienników donosi, jakoby niebawem utworzona być miała godność biskupa-sufragana krakowskiego. Do wiadomości tej dziennik ów nawiązuje refleksje, które bez względu na ich treść, w samej swej formie są niewłaściwe, bo z pewnością nie dziennikom przystoi prawo głosu w kwestji wyboru, jaki powezmą czynniki decydujące. Od siebie uważamy jedynie za rzecz właściwą zaznaczyć, że istotnie w kołach duchowieństwa krąży wieść o zamiarze utworzenia sufraganji krakowskiej; jako przyszłego biskupa-sufragana wymieniają kanonika gremjalnego kollacji Biskupiej, szambelana Jego Św., księdza Anatola Nowaka, którego ś. p. kardynał Dunajewski szczególniejszem zawsze obdarzał zaufaniem i w stosunkowo młodym wieku powierzył mu urząd książęco-biskupiego kanclerstwa, a obecny książę biskup Puzyna odznaczył go godnością kanonika gremjalnego oraz radcy i referenta Konsystorza.

Opłatek. „Kasyno powszechne“ obchodziło wczoraj Opłatek w licznem gronie członków Kasyna. Prezes-jubilat p. Dawidowski rozpoczął szereg toastów na pomyślność i rozwój Kasyna. Następnie toastowali pp. nadradca Herold, sekretarz B. Sulimirski, i inni, w końcu piękny toast „Kochajmy się“ wzniósł dr Wł. Lewicki.

Wydział Klubu prawników przypomina swoim członkom, że pierwsza z zabaw, ogłoszonym programem zapowiedziana, odbędzie się w sobotę dnia 30 grudnia b. r.

Restauracja zamku na Wawelu. Czytamy w *Czasie*: Kwestja usunięcia koszar wojskowych z Wawelu i restauracji zamku, dotąd nie została ostatecznie załatwiona. Umowa z władzami wojskowemi w sprawie opróżnienia Wawelu nie została dotychczas zawarta. — Władze wojskowe nie chciały bowiem wchodzić w rokowania z wydziałem krajowym co do wysokości ryczałtu, przez kraj zapłacić się mającego, dopóki nie zostaną sporządzone szczegółowe plany i kosztorysy nowych budynków na pomieszczenie wojska w zamian za budowle, dotychczas na Wawelu zajmowane.

W czerwcu b. r. otrzymał wydział krajowy od komendy korpusu w Krakowie pismo z oznajmieniem, że plany i kosztorysy są już gotowe i z żądaniem, aby kraj zapłacił skarbowi państwa całą sumę kosztorysową, a nadto dostarczył bezpłatnie gruntów pod budowę. Ponieważ suma żądana była zbyt wygórowana, wniósł wydział krajowy przedstawienie przeciwko temu żądaniu, ofiarując ze swej strony kwotę, zastosowaną, zdaniem jego, do rzeczywistej wartości obecnego pomieszczenia wojska na Wawelu.

Po ponownej wymianie korespondencji ostateczne oznaczenie kwoty wynagrodzenia nastąpić miało w najbliższym czasie w drodze ustnej konferencji między reprezentantami wojskowości a delegatami wydziału krajowego.

Z końcem listopada b. r. marszałek krajowy Stanisław hr. Badeni udał się w tym celu do Krakowa i poczynił wojskowości nowe propozycje, na które nie nadeszła dotąd decyzja.

W wydziale krajowym panuje jednakowoż przekonanie, że przy obustronnem żywem pragnieniu doprowadzenia tej sprawy do pomyślnego załatwienia, usunięte zostaną zachodzące dotąd różnice i że przyjdzie do skutku ostateczna umowa co do usunięcia koszar wojskowych z zamku na Wawelu.

Trzy lata upływa od chwili, w której Sejm, chcąc uczcić 50 letni jubileusz panowania Najjaśniejszego Pana, postanowił wybudować kosztem funduszu krajowego koszary, w których znaleść by mogło pomieszczenie wojsko znajdujące się dziś na Wawelu, a po opróżnieniu zamku oddać go do dyspozycji Najjaśniejszego Pana i wyznaczać corocznie pewną kwotę z funduszu krajowego na restaurację zamku. Niestety z powodu trudności, czynionych ze strony zarządu wojskowego, uchwała sejmowa nie mogła dotąd być wykonana. Wiemy, że komendant korpusu krakowskiego Albori osobiście z wielką życzliwością popiera tę sprawę, należy zatem mieć nadzieję, że już w najbliższym czasie rzecz cała stanowczo uregulowana zostanie i zamek na Wawelu odzyska swe pierwotne przeznaczenie.

Bank niemiecki podniósł dyskont na 7 procent z powodu obawy eksportu złota do Londynu, gdzie jeszcze utrzymuje się specjalnie sześcio-procentowa stopa, ale gdzie faktycznie pieniądz znacznie podrożał. Bank francuski podniósł eskont z $3^1/_2$ procent na $4^1/_2$ procent.

Sprawozdanie Tow. „Harmonja“ ukazało się właśnie i będzie po Świętach rozesłane członkom tego — może obecnie najliczniejszego Stowarzyszenia. Na wstępie zaznacza wydział, że rok ubiegły (od 15 grudnia 1898 do 15 grudnia 1899 r.) był dla Stowarzyszenia wcale pomyślnym, liczba członków wzrosła bowiem okazale i dosięgła cyfry 2148. „Harmonja“ krakowska uzyskała obecnie po raz pierwszy od czasu swego istnienia subwencję ze strony Sejmu, co zawdzięcza poparciu ze strony posłów krakowskich, a głównie swego byłego prezesa i członka honorowego dra Jordana. W uznaniu zasług umieszczono w tym roczniku portret dra Jordana. Ozdobny egzemplarz sprawozdania wręczyła drowi Jordanowi deputacja złożona z prezesa Towarzystwa p. Michała Różyckiego i sekretarza pana Charzewskiego.

Nie możemy wchodzić tutaj w szczegóły mieszczące się w sprawozdaniu, które co do formy czyni zadość wszelkim wymaganiom, na jedno tylko zwracamy uwagę, że sprawozdanie ukazuje się w kilka dni po zamknięciu rachunków, co jest istotnie wyjątkowem w naszych stowarzyszeniach. W końcu tekstu żali się wydział „Harmonji“, że orkiestra nie doznaje takiego poparcia, na jakie ze wszech miar zasługuje i że w razie zapotrzebowania muzyki zwraca się obywatelstwo tutejsze zbyt często do orkiestr wojskowych — wcale nie tańszych. Sądzimy, że rok przyszły nie da sposobności do utyskiwań, zwłaszcza po takiem doświadczeniu, jakie uczynił pewien komitet festynu, gdy orkiestry wojskowe, mimo, że przyjęły zamówienie, wskutek wyższego rozkazu nie wzięły udziału w zabawie, a komitet na przykry zawód naraziły. Wogóle, jak wiadomo, zabroniło obecnie ministerstwo orkiestrom wojskowym grywać w małych partjach, a zarządzenie to wpłynie przy zbliżającym się karnawale stanowczo dodatnio na wzięcie i rozwój orkiestry „Harmonji“, czego jej szczerze życzymy.

O aresztowaniu Gleitzmana podaje *Czas* tak delikatnie zredagowaną notatkę, że dziwić się trzeba niewymownej ostrożności, z jaką dziennik ten traktuje oszusta żydowskiego, skoro tak słusznie okazuje tyle surowości wobec pieniężnych nadużyć lwowskich, dokonywanych niestety przez aryjczyków.

Oto wersja, zapewne z oficjalnego pochodząca źródła, którą *Czas* przyjmuje jako swoje informacje: „Gleitzman miał na wielką skalę rozwinięty interes (!), a weksle przez niego żyrowane w ostatnim czasie dochodziły do kwoty blisko pół miljona; były to przeważnie weksle firm, dających dobre rękojmie (!?). Dziwiono się (!) też w sferach bankowych, że tego rodzaju weksle nie przychodzą wprost od stron do instytucyj finansowych, tylko przy pomocy pośrednika, którego żyro nie dodawało wekslowi pewności (!), a za to żyro trzeba było opłacać znaczny stosunkowo procent.

W ostatnich czasach, z powodu zajść w lwowskiej Kasie oszczędności, instytucje finansowe wiedeńskie zaczęły gwałtownie ściągać swoje wierzytelności z Galicji i ograniczyły lub zamknęły zupełnie kredyt; odbiło się to na Krakowie upadkiem kilku firm tutejszych, na których Gleitzman poniósł straty (!), jako odpowiedzialny z tytułu danego przez siebie żyra. Straty te mogły wynieść dla Gleitzmana około 30.000 złr.

Aresztowanie Gleitzmana nastąpiło z tego powodu, że w kilku wypadkach wekslami prolongacyjnymi, otrzymanymi od stron, nie wykupił weksli pierwotnych, lecz zeskontował je dla siebie. Tego rodzaju kolidujące z ustawą karną kombinacje (*sic!*) Gleitzmana wynosić mają około 6.000 złr. (??)

Onegdaj oświadczył Gleitzman, że wyjeżdża do Wiednia celem uregulowania swoich interesów; od tej chwili otoczono go opieką (?) Wczoraj rano (to znaczy: we czwartek rano, po wyjściu porannego *Głosu Narodu* z cokolwiek sensacyjnem zestawieniem czterech faktów) wezwano żonę Gleitzmana do przesłuchania do biur policyjnych pod Telegrafem z powodu obszernego materjału obciążającego (a więc!) okazała się potrzeba przetrzymania jej do po południa. Wtedy o godzinie 4 przybył... sam Gleitzman do biur policyjnych, i tu starszy komisarz p. Balicki ogłosił mu aresztowanie z powodu owych manipulacyj z wekslami“.

Policja przyaresztowała wczoraj wieczorem Michała Sternala, stróża, za kradzież pierścionków, zegarka i innych przedmiotów złotych p. Małgorzacie Paul, śpiewaczce estradowej. Sternal stradzione kosztowności schował do luftu kominowego. Przy aresztowaniu zaś stawiał nader silny opór.

Wisła pokryła się prawie całkiem twardą skorupą lodu. Pod Krakowem jedynie, przy moście podgórskim, płyną jeszcze lekkie fale, ale i te zaczynają się powoli zasklepiać. Stan wody nader niski.

Bal 1 lutego 1900 r. W chęci przyczynienia się do prędszego wybudowania własnego domu dla podupadłych rękodzielników i przemysłowców w Krakowie, Towarzystwo wzajemnej pomocy, w tym celu istniejące od lat 30, urządza bal dnia 1 lutego 1900 r. w sali hotelu Saskiego. Już sama myśl tak wzniosłego celu, daje rękojmię, iż bal udać się powinien. Komitet, powołany z wszystkich sfer, dokłada wszelkich starań, by największym wymaganiom zadość uczynić.

Ruch osobowy przy pociągach kolejowych jest przed Świętami tak ożywiony, że wszystkie pociągi są zdwojone. Pociąg osobowy do Wiednia zostaje dziś popołudniu wyprawiony aż w pięciu edycjach.

Prezydent sądu obwodowego w Jaśle, p. Adolf Podwin, wniósł prośbę o spensjonowanie. Stanowisko jego zajmie albo radca Zygmunt Jaworski, albo prokurator dr Antoni Stawarski.

Hilsner, morderca Hruzówny, ma wcale przyjemne więzienie, o ile na to ustawa pozwala. Od żydostwa z całego świata otrzymuje Hilsner znaczne sumy pieniężne, które władza pozwala używać na możliwe polepszenie wiktu i wygód skazańca. Hilsner rozzuchwalony tem, zachowuje się tak arogancko, że musiano go ukarać zamknięciem na 4 dni do ciemnej celi z drewnianą pryczą, gdzie dawano mu tylko chleb i wodę. Sędzia śledczy Baudisch, którego śledztwo doprowadziło do procesu i wyroku, otrzymał dłuższy urlop. Śledztwo ciągle się jednak jeszcze „uzupełnia“, ale prowadzi je naturalnie nie Baudisch, lecz sekretarz sądu dr Glossener, którego żydzi nadzwyczajnie chwalą, sławiąc jego bezstronność. Z ustąpieniem min. Kindingera należy oczekiwać, że się te „uzupełnienia śledcze“ raz nareszcie skończą.

Nekrologja. Antoni Kleczkowski, niegdyś artysta dramatyczny, występujący pod pseudonimem Zenoniego, potem przez długi szereg lat współpracownik „Nowej Reformy“, oraz korespondent kilku pism zamiejscowych, zmarł 21 b. m., przeżywszy lat 42. Pogrzeb odbędzie się w sobotę o godzinie 2 popołudniu.

— Sylwester Jagoszewski, emerytowany sekretarz starostwa, zmarł w Stanisławowie, przeżywszy lat 75.

— Marja baronowa Puszet zmarła w Nervi koło Nicei.

HUMOR.

Z rozmów za wachlarzem.

Stary lowelas, po długiem przytaczaniu najrozmaitszych argumentów, stawia wniosek ostateczny:

— Tak, łaskawa pani, kobieta stworzona jest tylko na to, aby nas, mężczyzn, robić głupcami...

A na to piękna interlokutorka z pobłażliwym uśmiechem:

— Tak, łaskawy panie, ale o tyle tylko, o ile nas, kobiet, nie wyręczy w tem .. matka natura...

NA WIGILJĘ.

NOWELKA

przez

Artura Ćwikowskiego.

(Dokończenie).

Lewa zda się być główną... prawa jest węższa. Oczywiście, że trzeba iść lewą... Ale z prawej strony szedł pociąg... Widocznie tam gdzieś musi być stacja, to zapewne ta bliższa droga, o której mówiła kobieta we wsi... Wcale przecie nie jest zasypana. Lewa wygina się w przeciwną stronę — nałożyłby tylko sobie jeszcze drogi, gdyby nią poszedł.

Nie wiedział, że gdyby był nią poszedł, w trzy kwadranse stanąłby na miejscu. Rzeczywiście pociąg szedł z prawej strony, ale zataczając wielkie półkole, przecinał ową drogę prawą, którą, się puścił podróżny i dochodził do Zarwanej, gdzie prowadziła tamta droga. Tor był przez to oczywiście dłuższy, niż gdyby był poprowadzony cięciwą, ale dla zbytniej nierówności gruntu, nie można było tamtędy ciągnąć linji kolejowej.

Nie wiedział o tem. Wnioskował słusznie, że jeżeli pociąg szedł prawą stroną, to widocznie droga ta do stacji prowadzi, a przynajmniej na tor wyprowadzić musi. Jeno, że do tego toru było blisko dwa razy dalej, niż od miejsca rozdzielenia dróg do stacji.

Księżyc szedł po niebie. On zaś dziwił się, że dotychczas nie spotkał ani jednego człowieka. A było mu coraz zimniej... nogi marzły mu pomimo, że szedł prędko. Nie szedł jednak prędko — choć mu się tak zdawało. Był nieprzyzwyczajony do takich marszów, więc zmęczył się niezmiernie. Ciężył mu płaszcz, ale go zdjąć nie mógł, lękając się zimna. Wiatr palił mu twarz, nos i uszy... oddychał ciężej.

Byle do jakiej chaty się dostać... Musi odpocząć, choć pół godziny... niechby zresztą się spóźnił na kolej... Rano pociąg odchodzi znowu, a we dwie godziny będzie w domu. Wychodząc nie spodziewał się, że tak będzie zimno. Tam w domu muszą się siostry na stawie ślizgać — toż się uślizgają, gdy przyjedzie.

Wigilja... wigilja... Stół obrusem zasłany i kolorowe opłatki i choinka dla Adasia. Robiło się wtedy małe sprzysiężenie: W jego pokoju stało drzewko i wieczorami wszystko troje krzątało się koło niego. Teraz przyjedzie za późno, ale jeszcze będzie coś do zawieszania. A kiedy wszystko było gotowe, gdy rozwieszono łańcuchy, ozdóbki i łakocie, umocowano świeczki, Zosia woła ojca:

— Niech się tatko przypatrzy, jakie piękne drzewko.

Tatko przypatrywał się i chwalił. Ona zaś sama była tak uradowana, jak Adaś, którego po Wigilji wpuszczano, jako bohatera dnia i oddano mu choinkę na własność. Toż to była radość, gdy chłopię stanęło z otwartą buzią, z zapatrzonemi oczkami, nie śmiejąc się ruszyć, ani odetchnąć, by nie znikło cudowne zjawisko.

Ej Boże! Znowu te marzenia omamiają go, jak sen... Są zupełnie do snu podobne, bo gdy się zamyśli, nie wie o niczem i nie czuje zimna. Wtedy ogarnia go jakaś bezwładność, że mu się iść nie chce i oczy się kleją. Nie wie nawet, że posuwa się bardzo powoli.

Przed nim zamajaczył bór... Stał cichy ubrany w śnieg, jak w cudną białą szatę, świecącą perłami.

Wszedł. Przez konary szpilkowych drzew rzucał księżyc srebrne plamy na drogę. Wokół była majestatyczna powaga. Jego zdjął jakiś lęk... Przypomniały mu się baśnie z dziecinnych lat... I znowu te dziecinne lata! .. Siadywali zimą przytuleni do siebie na kanapce, a Kunegunda, dorzucając drzewa pod piec, opowiadała bajki. Było ciemno, więc im serduszka biły silnie, gdy słuchali baśni o zaklętych zamkach, o czarodziejach i królewnach, o smokach i upiorach. Ona zaczynała zwykłym swym monotonnym głosem: „Był król, który miał wielki, złoty zamek...“

Przypomniała mu się zwłaszcza jedna bajka: w niej czarodziej porwał królewnę i umieścił ją w djamentowym pałacu... Teraz, patrząc na ten cichy, smutnie biały las, na tę jasność, która nasycała powietrze, pomyślał sobie, że to tak, jak w djamentowym pałacu: Wszędzie biało i biało, wszystko lśni jak djamenty i cisza taka, jak w zaczarowanem miejscu... Jeno gdzie królewna? Nie widział jej...

„Musi być gdzieś“ — pomyślał sobie. I z silną chęcią odszukania jej zeszedł z drogi, by wejść w bór...

Oprzytomniał. „Gdzie ja idę? Czy śpię? Co mnie niesie w ten las?“

Było mu słabo niezmiernie. Wyszedł znowu na drogę i iść począł. Ta droga nie ma chyba końca — nóg już prawie nie czuje...

A może zbłądził?...

Jakby na odpowiedź, usłyszał dzwonienie sanek w oddali. Drgnął z radości. W tem uśpionem, czystem powietrzu słychać było wyraźnie metaliczny dźwięk... Jadą ludzie, ale z przeciwnej strony. Od nich dowie się jednak, jak daleko i czy dobrze idzie.

Jechało kilkoro; widocznie w dobrych byli humorach, bo śpiewali sobie i śmiali się hałaśliwie.

— Ludzie! Czy daleko do Zarwanej? — krzyknął, gdy się z nim zrównali.

— Gdzie?

— Do Zarwanej... do kolei...

— Będzie mila...

— A zajdę tą drogą?

— Zajdziecie — odpowiedziano z wozu — jeno trzeba...

Nie dosłyszał, bo sanki przeleciały i dzwonki zagłuszyły resztę słów. Powiedziano mu: Jeno trzeba pod krzyżem wykręcić na lewo.

Ale on ucieszył się, że jeszcze mila i począł iść raźniej. Bór został za nim. Owiało go znowu zimne, przeraźliwe powietrze. Rzeczywiście niedaleko stał krzyż pochyły i wyciągał smętne białe ramiona ku tym rozległym polom. Ale od niego nie zdawała się płynąć miłość i słodycz.., tylko jakaś ponura, głucha groza, jakaś rozpacz i zmękanie. Stał tak cichy, przyprószony śniegiem, w blasku księżyca. Od niego szła droga na lewo do Zarwanej... Ta zaś, która prowadziła prosto, wychylała się potem w zupełnie przeciwną stronę, do Zgorzelowa.

Podróżny zatrzymał się, nie wiedząc, gdzie iść. I znowu go złudził ów pociąg i znowu począł rozumować, że, idąc prosto, zajdzie do stacji, a idąc w bok, oddali się.

Poszedł naprzód.

Czuł potrzebę spoczynku, choćby na kilka minut... Czuł, że mu nogi odmawiają posłuszeństwa, że, idąc tak powoli, nie zajdzie do rana. Chwytało go osłabienie i wtedy zapominał — gdzie jest, ale to przechodziło. Zimno ogarnia-

ło go coraz większe... Tu musi być gdzieś wieś — myślał sobie.

Wieś była opodal za wzgórkiem, ale on o tem nie wiedział, gdyż byłby przyspieszył kroku i doszedł do chaty.

Zdawało mu się, że siedzi za stołem wigilijnym.. Marynia sama rozścieliła obrus i poczęła rozkładać talerze... Była rumiana, jak zorza od ognia, przy którym cały dzień stała... Zosia przyszła, odpasała biały fartuszek i usiadła obok niego, objęła go ręką za szyję i pyta cichutko:

— Czego mi życzyć będziesz przy opłatku?

— Ładnego i dobrego męża...

Poczęła się uśmiechać. Jak ona się cudnie śmieje... Adaś wielkiemi oczami wodzi bacznie wszędzie i czeka niecierpliwie. W pokoju cicho — czekają na ojca.. Kunegunda zawiązuje Adasiowi serwetę pod szyję... Marynia wnosi opłatki.

Wspiera głowę o poręcz krzesła... Jak tu ciepło!... Zosia mówi coś ciągle, ale on nie wie co... nie rozumie... Czuje tylko bezmierne szczęście i ciepło. Gdzie on?

Otwiera szeroko oczy przerażony: widzi starą pochyłą wierzbę i śnieg na niej. Gdzie on? Podnosi oczy w górę: jasno, niezmiernie jasno... widzi krągłą, białą tarczę księżyca... zwolna wraca mu przytomność.

— Co ja robię? — myśli sobie.

Ale odpocząć musi. Na chwilę, na maleńką chwilę... Wie, że długo się nie zatrzyma, boby mógł zamarznąć. Przecież słyszał dużo opowiadań: położyli się spać na mrozie i pomarli. Ale on chce tylko chwilę wypocząć.. Minutę... dwie. Zresztą nie uśnie... odpocznie i pójdzie. Przecież gdzieś znajdzie chatę po drodze...

Schodzi z drogi i wspiera się o drzewo... Oczy wytęża na księżyc, co płynie po przejrzystem niebie — widzi ciągle ten księżyc.

Więc nie śpi — wyobraża sobie — bo widzi księżyc.

Ale około tego księżyca zaczynają się grupować obrazy... Idą, wchodzą w księżyc i znowu wychodzą... Ogromnie jasno... Nie może pojąć dlaczego tak jasno... co to jest... dziwi się bardzo...

Ach, to lampa w pokoju się świeci, i on nie wiedział dlaczego blask taki... To wigilja przecie... Wszystko, co kochał, jest obok niego... Przed oczyma snują mu się drogie postacie, jak cienie, ale on sam nie wie, co się z nim dzieje...

W tym pokoju jednak za jasno... Marynia nalewa barszcz na talerze...

— Mnie mało baścin — mówi Adaś.

Cicho, niezmiernie cicho... Zdaje mu się, że ktoś mu wlewa balsam w piersi... tak mu dobrze... Widzi ciągle twarz ojca i jego siwe oczy... Chciałby, by to tak bez końca trwało... Pije barszcz ciepły i wonny i nie wie nic więcej...

— Dosyć Zosiu...

Ale Zosia wlewa mu jeszcze... Jej oczka — widzi — świecą, jak gwiazdy. Ona go bardzo kocha...

— Mnie mało baścin — słyszy głos Adasia...

Ach, jak mu dobrze! Ogarnia go bezmoc z tego nadmiaru słodyczy... Chciałby usnąć, ale nie wolno... Nie, on się nie powstrzyma... tak mu się spać chce... tak bardzo... Pochyla głowę na ramię Zosi, czuje, że go ona delikatnie rączkami obejmuje, czuje ciepło jej pocałunku na ustach i usypia. Przez sen słyszy głos Adasia:

— Mnie mało baściu...

A w twarz świeci mu księżyc, jak lampa srebrna i sny mu złote przywodzi... A on śpi.

I wiatr wstaje z pól i leci z dziwnym szmerem przez rozłogi... Ale on spi...

Pewnie idzie ta dusza błąkać się po djamentowym pałacu i szukać zaklętej królewny... pewnie marzy, że znalazła szczęście i wieczysty spokój... Cudowny sen!...

A księżyc wiecznie świeci ponad polami, i jak okiem sięgnąć zalewa je potokami światła... a niebo wiecznie przejrzyste i chłodne, jak lód i cisza monotonna, głucha na ziemi i na błękicie.

Ostatnie depesze „Głosu Narodu".

Mianowania z „Wiener Ztg".

Wiedeń 23 grudnia. Dzisiejsza *Wiener Zeitung* ogłasza następujące nominacje: Cesarz zamianował posła do Rady państwa dra Jana Żaczka i członka Izby panów dra Antoniego Hasslwantera dotychczasowego zastępcę trybunału państwowego — członkami tegoż trybunału, zaś pensjonowanego szefa sekcyjnego Spauna, zastępcą członka trybunału państwowego.

Kierownik ministerjum finansów zamianował w etacie personalnym prokuratorji skarbu we Lwowie, adjunktów: dra Józefa Horszowskiego, dra Włodzimierza Iwasieczkę, dra Leonarda Wohllerner, dra Franciszka Sawę, dra Wincentego Mączyńskiego, dra Stanisława Skrachę, dra Mieczysława Poraj Madeyskiego, dra Tadeusza Leweryego i dra Jana Waygarta, koncepistami prokuratorji skarbu, zaś koncepistę dra Witolda Rabczyńskiego i prowizorycznych koncepistów dra Romana Cholewa Moraczewskiego, dra Aleksandra Waldmana i dra Adolfa Sternschussa, adjunktami prokuratorji skarbowej.

Minister sprawiedliwości przeniósł radców sądowych dra Franciszka Maudybura ze Lwowa do Przemyśla, Jana Hirscha, naczelnika sądu pow. w Pruchniku do Lwowa i Włodzimierza Argasińskiego, naczelnika sądu pow. w Rawie do Lwowa.

Nadto zamianował minister sprawiedliwości radcami sądu krajowego sekretarzy sądowych Hugona Garusa w Przemyślu dla Sanoka, Franciszka Slaczka w Przemyślu dla Sambora, i substytuta prokuratorji państwowej Wincentego Mromlińskiego w Przemyślu dla Lwowa.

Minister sprawiedliwości przeniósł sekretarzy sądowych: Zdzisława Oleksińskiego z Rudek do Przemyśla, Ryszarda Hessego z Trembowli do Przemyśla, Adolfa Nechay v. Felseis z Oleska do Rudek.

Minister sprawiedliwości zamianował sędziami pow. sekretarzy sądowych: Stanisława Nowosielskiego w Zabłotowie dla Pruchnika, Tadeusza Rybickiego we Lwowie dla Janowa, oraz adjunkta Jana Vincenca z Zabłotowa dla Rawy.

Sekretarzami sądowymi zamianowani zostali: Andrzej Bednarz w Olesku dla Oleska, Józef Oryga w Kopyczyńcach dla Trembowli, Józef Villaume w Szczerzecu dla Zabłotowa, Czesław Krzyszkowski w Tłustem dla sądu wyższego we Lwowie, adjunkt prokuratorji skarbu dr Władysław Huekel we Lwowie dla Tarnopola, adjunkt sądowy Bolesław Lityński w Buczaczu dla Bursztyna i Zenon Łukawiecki z Zaleszczyk dla Tarnopola.

Wybór do Rady państwa.

Czerniowce 23 grudnia. Przy wyborach do Rady państwa z okręgu Kocmańskiego wybrany został posłem starorusin Mikołaj baron Wasilko.

Pożar fabryki w Budapeszcie.

Budapeszt 23 grudnia. Wczoraj nad ranem wybuchnął pożar w budapeszteńskiej fabryce dla rafinerji nafty. Zajęła się mianowicie jedna beczka z naftą i płomienie przeniosły się potem na znajdujący się w pobliżu skład węgla. Wielkiego niebezpieczeństwa eksplozji uniknięto jedynie dzięki szybkiej i dzielnej pomocy fabrycznej i miejskiej straży pożarnej.

Proces spiskowców w Paryżu.

Paryż 23 grudnia. W procesie spiskowców przeciw Republice, toczonym wobec senatu jako trybunału państwa, przesłuchano wczoraj ostatnich świadków.

Obrońcy domagali się, aby przesłuchać jeszcze jako świadka Marcela Haberta. Prezydent Fallières oświadczył jednak, że świadków zacytowanych przez obronę po dniu 20 grudnia, trybunał już przesłuchiwać nie będzie.

Na tem postępowanie dowodowe skończono. Następne posiedzenie, na którem zapewne zaczną się *pleidoyers* odbędzie się we wtorek.

Bójki w Paryżu.

Paryż 23 grudnia. W Tivoli Vauxhall odbyło się wczoraj zgromadzenie, które miało być manifestacją na rzecz Boerów przeciwko Anglji. Pomiędzy nacjonalistami, socjalistami i anarchistami wywiązały się bójki, które się przeniosły na ulicę. Policja musiała trzykrotnie interwenjować życiem białej broni zanim rozproszyła zażarte stronnictwa.

Z parlamentu francuskiego.

Paryż 23 grudnia. Izba poselska uchwaliła 468 głosami przeciwko 51 dwumiesięczne prowizorjum budżetowe.

Nadto uchwaliła Izba ustanowić dla kobiet i dzieci maksymalny jednastogodzinny dzień pracy, z tem, że w przeciągu czterech lat ograniczony ma być ten dzień pracy do godzin dziesięciu.

Proces Maffji.

Rzym 23 grudnia. Czwartkowa rozprawa w medjolańskim procesie Maffji miała przebieg wysoce sensacyjny. Na sali rozpraw bowiem w toku posiedzenia ogłoszono i wykonano natychmiast rozkaz aresztowania całej rodziny niejakich Barone i jej całej służby. Aresztowanie nastąpiło na podstawie faktów, które wyszły na jaw podczas rozprawy. Okazało się mianowicie, że mordercy Notarbartola bezpośrednio po spełnieniu krwawego czynu schronili się u rodziny Barone.

Rozkaz aresztowania wydano również przeciwko inspektorowi Mattei, a to za fałszywe świadczenie przed sądem. Ten ostatni rozkaz wszelako nie został wykonany, a to dla tej przyczyny, że Mattei zdecydował się wypowiedzieć całą prawdę, t. j. wyznać, że mordercy po dokonaniu zbrodni uciekli do domu Barone. Mattei zeznał nadto, że poprzednio składał fałszywe świadectwo z obawy przed zemstą rodziny Barone.

Podczas, gdy Mattei zeznawał, musiano pod eskortą żandarmów wyprowadzić wszystskich obecnych członków rodziny Barone z sali, gdyż w oczach sędziów usiłowali oni przerazić świadka, miotając przeciwko niemu najstraszniejsze przekleństwa i obelgi.

Rotszyld przeciwko Boerom.

Londyn 22 grudnia. Na posiedzeniu rady miejskiej Londynu, która tutaj obradowała wczoraj pod przewodnictwem Lorda Majora, doniesiono, że na koszty wystawienia miejskiego korpusu ochotników dla południowej Afryki, złożonego z 1000 ludzi, zebrano w mieście przez subskrybcję 25.000 funtów sterlingów. Rotszyld sam ofiarował 5000 funtów sterlingów.

Lord Wolseley przyjął propozycję utworzenia wspomnianego korpusu.

Straszna ślizgawka.

Bruksela 23 grudnia. Podczas ślizgawki na rzecze, Lys w miejscowości Frelinghien załamał się lód, Na lodzie ślizgały się dzieci. Dotychczas wydobyto z pod lodu 33 dziecinnych zwłok.

Wojna w Afryce Południowej.

Wiedeń 23 grudnia. Ministerstwo wojny ogłasza depeszę, otrzymaną z Pietermaritzburga pod datą 22 b. m., według której w ostatniej walce w Boerami Anglicy mają 7 zabitych i 14 rannych.

Z zacytowanych w depeszy nazwisk pułków, które brały udział w potyczce, okazuje się, że informacja ta odnosi się do potyczek, którą stoczono pod Ladysmith w d. 18 grudnia.

Paryż 23 grudnia. W tutejszych dyplomatycznych kołach zapewniają bardzo stanowczo, że Ladysmith już przed kilku dniami poddało się Boerom. Położenie Anglików zamkniętych w Ladysmith miało być już w chwili, gdy jenerał Buller odnosił klęskę nad Tugelą, rozpaczliwe. W mieście panował głód i zakaźne choroby. Utrzymuje się mniemanie, że to z tego względu urząd wojenny tak mało przepuszcza depesz, iż Ladysmith już padło, a rząd waha się jeszcze z podaniem wieści tej do wiadomości ludu.

Londyn 23 grudnia. W sferach wojskowych sytuacja w południowej Afryce traktowana jest z wielkim pesymizmem. Pomimo męstwa oficerów, pośród wojska panować ma duch głębokiego przygnębienia. Dopiero teraz dochodzą wieści o licznych dezercjach w wojsku angielskim i przechodzeniu na stronę wroga. Położenie staje się dla Anglików coraz groźniejszem, nietylko w samym Transwaalu, lecz nasuwają się nawet obawy, aby Boerowie nie opanowali także Kolonij Przylądka.

Właścicielka i wydawczyni: Józefa Rogoszowa. Redaktor odpowiedzialny: Dr Włodzimierz Lewicki. W drukarni W. Korneckiego w Krakowie.